1395

DEMOKRACI

I

ARYSTOKRACI.

OBRAZ DRAMATYCZNY W PIĘCIU ODSŁONACH.

„A kto ofiar spełnił wiele,
i na ofiar poległ czele —
To mi Arystokrata.“ —
(Dzień dzisiejszy.)

POZNAŃ.
W KOMISIE KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.
1858.

Poznań, czcionkami M. Zoerna.

Dwom najznakomitszym dramaturgom polskim, tę pierwszą pracę swoją na widok publiczny pojawiającą się, jako dowód poważania ich literacko-obywatelskich zasług i czci dla bezstronnych a w żadną koteryjną ostateczność nie wpadających zasad, które w pismach swoich wyznają, choć nieznany, poważa się poświęcić.

Autor.

19./31. Lipca 1857.

Określenie głównych zarysów fizjonomji dzisiejszego społeczeństwa, przeobrażających się w objawach codziennego życia, nadając im formę dramatyczną, ciężkiém jest dla autora zadaniem. Trudniéj atoli tworzyć ideały i oblec je w szaty do obecnéj rzeczywistości zbliżone — w epoce przechodowéj w któréj żyjemy, w epoce która jest wigilią wielkiego jutra, w chwili gdzie ruch narodu jest raczéj słabym życia znakiem, nie zaś działalnością męża poczuwającego się w siłach. O téj trudności słów kilka powiedzieć zamierzam.

Działanie, akcja — to zasadniczy żywioł dramatu. Określenie stosunków istniejących między ideałem a rzeczywistości światem, to główny cel dramaturga. Pogodzenie tych światów w sferze duchowéj jest jego ostatecznym krańcem. — Ideał spoczywa w duszy poety. On pragnie zrealizować go — oblec w dotykalne kształty ciała, wprowadzić go w bój z zastępami nieprzyjaznych mu żywiołów; on chce tchnąć weń twórczą siłę ducha — jedyną siłę zwycięztwa godną — i palmę tryumfu zatknąć na zwaliskach ujemnych a wstecznych człowieczeństwa celom pierwiastków. Atoli zwy-

cięztwo nie w jego mocy, gdy przedsiębierze malować społeczeństwo istniejące w czasie bieżącym, społeczeństwo *jakiém jest*. Przedstawienie narodu pośród nieustającéj walki, na ciernistéj drodze do świata boskiego, jego pasowanie się, ruch i ostateczny wynik bojowania, jest zadaniem dramaturga. A wszakże kres téj walki zakryty przed jego wzrokiem! — Właściwie przeto, dramat przedstawiający w obecnych warunkach społeczeństwo nasze drzemiące, ruszające się, jest niestósowném zjawiskiem. A jednak dramat odgrywa się w duszy narodu, dysze w piersi jego bez poczucia, bez zeznania jednostek społeczny łańcuch składających.

Żyjemy w czasie gdzie wszystko chwieje się, w chwili opromienionéj jutrznią jakiéjś obiecanéj przyszłości, a więc i owe jednostki wyraźniéj ponad tłumem narodu górujące, muszą fatalistycznie chwiać się, gdy podstawa na któréj stoją, drży i na wszystkie miota się strony.

Zapleśniałe przesądy żyją jeszcze jakokolwiek tchem tradycjonalnych wspomnień, prawem historycznéj dawności; lecz będąc w istocie przeczeniem logicznéj awożności i idei chrześciańskiéj, trupieszeją w środku, a w końcu runąć muszą. — Cnota, zacność, spełniwszy powołanie swoje, świetnych czynów ciągiem, w zgrzybiałéj, nie mniéj wszakże czcigodnéj ospałości, dokonywa spokojnie żywota, co za przykład winien służyć pokoleniom młodszym. — Wrodzona po-

czciwość narodowa, skarykaturyzowana wernixem nowych pojęć, noszących postępu miano, bez zeznania, bez celu w życiu, sprowadzona do biernego bezruchu, który się równa występnemu kwietyzmowi. — Zbrodnie — niechybnym są owocem ducha złego, gdy idea niebiańska przeważnéj nie bierze góry. — Tylko dusze wzniosłe, szlachetne, którym ciasno w ramach powszedniego życia, rwą się, szamocą, pędzą. Ich celem.....

Dnia 17./29. Maja 1857. roku.

szczość narodową, skatolicyzowana wcieleniem nowych pojęć, nowszych postępu planu, bez poznania bez celu w życiu, sprowadzona do bieżącego bezruchu, który się równa [illegible] świętokradztwu. — Zbrodnie — niechybnym są owocem ducha złego, gdy idea niebiańska przewodnią nie bierze góry . . . Tylko dusze wzniosłe, szlachetne, którym ciasno w ramach powszedniego życia, [illegible] się samopas, jedna. Ich celem — [illegible]

Dnia 17/29 Maja 1867 roku.

DEMOKRACI I ARYSTOKRACI.

OSOBY.

	Lata.
Xiąże August	50.
Xiężna z Hrabiów Staborskich Augustowa	40.
Matylda, ich córka	18.
Hrabia Stanisław Staborski, brat Xiężny	60.
Hrabina Staborska, jego żona	45.
Prezes Drabiński	60.
Władysław Ostrowiecki, demissjonowany major	70.
Konrad Przewolski, przyjaciel majora	30.
Piotr Mrozowicz	45.
Pani Mrozowiczowa, jego żona	30.
Edward Tężyński	25.

Rzecz dzieje się w połowie XIX. stulecia.

Optamus placere bonis, pravis odiosi haberi, omnibus enim placere, nemini placere est.

AKT PIERWSZY.

W domu Majora, na wsi.

Na boku stół. Na nim książki. W koło fotele, krzesła. MAJOR w czamarze kontuszowym krojem zrobionéj, czyta gazety. KONRAD starannie lecz bez przesady ubrany, pali cygara, siedząc.

MAJOR (dzwoni. Wchodzi służący.)
Do służącego.

Na kilkanaście osób herbatę i lody
przygotować.

(Służący odchodzi.

KONRAD (obracając się do MAJORA).

A to co? Jakież są powody
tak licznego zebrania? Na wsi — to rzecz rzadka;
Zwłaszcza tu — w domu wdowca.

MAJOR.

Nie trudna zagadka.....

KONRAD (przerywając).

Nudzą się. Płotek niema. Jednostajnie głucho.
Trza czémś umysł rozerwać; coś nazbierać w ucho,
by mieć kogo w sąsiedztwie, poróżnić, pogodzić,
tych rozkochać, tych żenić, tamtych znów rozwodzić.
Niech się bawią!

MAJOR.

Na ten raz mają pozór nowy,
i cel nie tak złośliwy. — Sejmik wyborowy.

KONRAD (złośliwie uśmiechając się).

A! więc *radzić* tu będą.

MAJOR.

Dzisiaj przed wieczorem
mają się zjechać do mnie — radzić nad wyborem
Guberskiego Marszałka, Prezesa, Sędziego.
A razem też odwiedzieć może chcą starego.

KONRAD.

To prędzéj. Wszak publiczne dobro im nie w głowie.
Jakież u nas narady?! Zbiorą się. Ten powie:
Biało. Ów wrzeszczy: Czarno. — Co? czarno! Więc zwada.
I tak-to każda u nas kończy się narada.
O dowody nikt nie dba. Kto w płucach dość silny,
Kto ma więcéj dowcipu — ten już nieomylny.
Na co się komu zdadzą logiczne wywody?!
Młody — nie ma słuszności. Dla czego? — Bo młody.
Stary — at! brednie prawi. Dla czego? — Bo stary.

MAJOR (z westchnieniem).

Dawne to, mój Konradzie, dawne to przywary!
Cóż poradzisz?!... Gdybyż to — gdyby tylko tyle
różnicy było w ludziach! Gdyby w wieku, w sile,
w zdolnościach umysłowych, w zasługach lub cnocie
była cała różnica — nie w herbach, nie w złocie,

(zapalając się)

nie w tytułach zszarganych zbrodnią lub podłością,
nie w honorach kupionych podstępem, chytrością,
łzami milljonów bliźnich; gdyby..... at! marzenia!
Czyliż już nic lepszego niema do mówienia?!...
Szkoda słów! Dużo wody — o! dużo upłynie,
nim ludzie do rozwagi przyjdą — nim złe minie.

(Smutnie.)

Próżne ubolewania! — Brzydkim jest świat z bliska,
To prawda!... Lecz są też w nim poczciwi ludziska,
Któż bez ale?..... Trza czasem coś bliźnim wybaczyć,
Trudno od razu, cały świat ten przeinaczyć.

KONRAD.

Lecz z ich głupstwa, toć przecie, choć pośmiać się godzi.

(Wstaje.)

Szczerze rad będę gościom.

MAJOR.

Co tobie szkodzi,
że ktoś głupi? —

KONRAD.

I owszem — ja bawię się nimi.
Jabym oszalał między mędrcami samymi,
których wzrok, widząc tylko co mu wskaże księga
daléj jak druk lub stary szpargał nie dosięga,
dla których ludzkość cała tryskająca życiem
jest rodzeniem się, wzrostem, upadkiem i gniciem.
Dla mnie — kraj mój rodzinny moich ziomków grono,
z ich błędami i cnotą; z ich pychą szaloną,
z ich odwieczną niezgodą, z ich zapałem świętym,
z ich butą staroświecką i z tym niepojętym
lekkomyślności duchem — to pracy méj pole.
Stamtąd rośnie pociecha, stamtąd rosną bole.
Czasem uśmiech radości na twarzy zabłyśnie,
czasem czoło się schmurzy, lub łza z oka tryśnie.
Tak żyję, mając z łaski twéj błogie zacisze,
w którém mogę pracować. Marzę, czytam, piszę;
i dobrze mi! A gdy mię jednostajność znudzi,
pozwolisz, że się trochę muszę pośmiać z ludzi.

(Wesoło.)

Mamy z tuzin sąsiadów. E! jest w czém wybierać.

MAJOR (uśmiechając się).

Wnet przyjadą. Będziesz miał z kogo wzorki zbierać.
Złośliwa oso!

KONRAD.

Jakżem rad, jakżem rad szczerze.
Zmiłuj się — baw ich długo; zaproś na wieczerzę.
Będziemy mieć rozrywkę, bo pewno ciekawe
towarzystwo się zbierze.

MAJOR.

Wszak nie na zabawę
tu przyjadą.

KONRAD.

A po cóż? Nic pożytecznego
nie obmyślą dla kraju. Co im tam do tego:
urzędnik zły czy dobry. — Kucharz doskonały,
dobre wina, brzuch krągły, to przywiléj cały
na wszelkie dostojeństwa, godności, urzędy,
na szacunek spółbraci i ufność i względy.
Małoż takich? Więc o czémże mają tu radzić?
Jé smacznie, karmi dobrze — na urząd go wsadzić.
I jeśli nic nie zrobić, to choć się poswarzyć.
Wprawdzie i o tém także trzeba coś pogwarzyć,
pod tym dołek wykopać, tego wywieść w pole,
a w końcu zapić winem tę sprawę przy stole.

MAJOR.

Jakże chcesz! Sejmy nasze muszą iść tą drogą,
i inaczéj — niestety! nigdy pójść nie mogą,
bo też tylko *rozprawiać* lubi szlachta nasza,
a zapewne dla dysput do mnie się zaprasza.

KONRAD.

Tak — z nudów — żeby trochę ożyć przy gawędzie.
Niecierpliwie ich czekam. — I Xiąże przybędzie?

MAJOR.

Zapewne.

KONRAD.

I Staborski?

MAJOR.

Staborski. Drabiński.

KONRAD.

To Panowie. — Któż jeszcze?

MAJOR.

Mrozowicz. Tężyński.

KONRAD (ironicznie).

No! to szlachta prawdziwa — szlachta z pochodzenia.
Ależ tamci — Majorze! Zajmą ich znaczenia,
zwiesz *szlachtą* Hrabiów, Xiążąt. Majorze! Dla Boga!
Zdobią ich perły, pióra, purpura i toga,
rodowód z lat tysiąca i herb promienisty. —
Wszak to polskiéj krwi, polskich kości extrakt czysty.

MAJOR (uśmiechając się).

Czyś Drabińskiego także do *panów* zaliczył?

KONRAD.

Prezesa — który razem tyle odziedziczył
godności i tytułów? Jażbym śmiał ubliżać
temu dygnitarzowi? — do szlachty go zniżać?
To Pan od stóp do głowy — to arystokrata!
Syn Radcy; — Szambelanem ma wuja, ma brata;

zrodzony z kasztelanki — ciotka Baronowa.
Tu krzyż — tam klucz — tu wstęga — gwiazda brylantowa.
W spadku mnóstwo tytułów od ojca i dziada.
Sam Prezesem od wieków. Familja nie lada!

MAJOR.

Mój Konradzie! Prezesa zasługi i cnoty
wynoszą go nad innych. Masz trochę ochoty:
ogadywać sąsiadów. Wszak szereg ten cały
tytułów go nie krzywdzi. Na co ci się zdały
te przekąsy złośliwe, te szyderstwa, żarty?
Przez to nie będzie innym świat z dawna uparty,
a ty wlewając zwykle jad w każdą rozmowę,
tylko wszystkim przez swoje drwinki nałogowe
napróżno się narażasz.

KONRAD (szyderczo).

Przesądy to dawne —
te zasługi i cnoty! Dzisiaj imię sławne
obszerne włości, tytuł, nawet świetne długi
więcéj dają powagi, niż cnoty, zasługi,
jaśniejące w spokojnéj domowéj zagrodzie;
bo cnota często chodzi o chłodzie i głodzie,
a złoto może nawet zmyć hańbę imienia,
lub zbrodni dodać jeszcze blasku i znaczenia.

(Poważnie.)

O przyjaciół zaś niedbam, których zjednać trzeba
pokorą lub pochlebstwem. Dla kawałka chleba
zdań moich nie sprzedaję — mówię co mam w głowie.
To przyjaciel co w oczy, to moje przysłowie.

MAJOR (ironicznie).

Więc jesteś przyjacielem Prezesa i Xięcia?

KONRAD (ironicznie).

Ja cały naród kocham. — W miłości objęcia
całą ludzkość przyjąłem, w każdym widzę brata.
(smutnie uśmiechając się.)
Lecz gdy z samych półgłówków składa się półświata,
cóż dziwnego że czasem z ich głupstwa się śmieję?!.....
A do żartów mam nader ważne przywileje:
gardzę złotem, dla tego téż bezkarnie szydzę,
i gdzie duma się pyszni, ja tam śmieszność widzę.
Próżność, ani chęć zysku ust mi nie zawiąże,
a czy to Graf, czy Baron, Hrabia, chłop, czy Xiąże,
w szyderskiéj sukni, gorzką prawdą w oczy kolę.

MAJOR.

Szczególniejszy twój humor. Biorąc taką rolę,
mniemaszże, iż jak bocian, świat oczyścisz z gadów?
Siedmdziesiąt lat już żyję, znam moich sąsiadów.
Są źli, są dobrzy — różnie. Dopókim był młody
i jam gromił zdrożności. Cóż ztąd? kwas niezgody.
Zaczęto mnie unikać aż zmilknąć musiałem,
bo nie miałem z kim mówić. Dzisiaj życiem całém,
daję świadectwo mowie.

KONRAD (w uniesieniu przystępuje do MAJORA).

Wiem co chcesz powiedzieć.
Tak — życiem, — życiem czynu można odpowiedzieć
wyższemu powołaniu, więcéj niż słowami.
I ty, zacny Majorze — twojemi ranami,
twoją krwią przelewaną w usługach dla kraju
świętém przechowywaniem praojców zwyczaju,
nieskażoném sumieniem i przeszłością całą
wspaniały przykład dajesz. — Nam — cóż pozostało?!.....
Straszno — gdy spojrzę wkoło! Gorycz przejmie duszę

i jad który mię pali tu — wylewać muszę.
Nam zacnym nie wolno być tylko w połowie.
Co indziéj wadą, to się u nas zbrodnią zowie.
(po chwili.)
Dziwisz się mym szyderstwom. — Całe moje życie
było tylko ofiarą, cierpieniem. Ja — skrycie
tylem przetrwał, przebolał i tylem goryczy
doznał, że wzrok litości, przelotny, zwodniczy,
z ukrytą myślą, z jakimś rachunkiem na przyszłość
tylko mi serce ścisnął — a życia zawisłość
od przykrych w mém tułactwie przeznaczeń koleji
zgasiła we mnie iskrę ostatnią nadzieji,
bym kiedy — co najdroższém było mém marzeniem
mógł ziomkom przynieść korzyść pracą, poświęceniem;
zdało mi się w młodzieńczym szalonym zapale,
że przesądy wyniszczę, że egoizm zwalę,
że w imię świętéj prawdy, chrześcijańskiéj miłości
wszystkie ludy do bratniéj powołam jedności.
Marzyłem!..... A śród walki téj na każdym kroku
spotkałem niechęć w ustach, lub szyderstwo w oku.
Dzisiaj przebaczać umiem, ale nie pobłażać.

MAJOR.

Nie znam twojéj przeszłości. Jakiekolwiek losy
ścigały cię, doznane zawody i ciosy
za podnietę do trudów powinny ci służyć.
Tylko duch słaby, może w nieszczęściach się zużyć.

KONRAD (ponuro).

Moje dzieje zbyt smutne! Ojciec poległ w bitwie,
a Matka błogosławiąc — w ostatniéj modlitwie
konającemi usty, mnie w opiekę Bogu
oddała — i nędzarzom, — co żebrać u progu

pańskich domów musieli — by sprawić méj matce
ubogi pogrzeb, w brudnéj na przedmieściu chatce.
Miałem wówczas lat dziewięć. — Gdym już matki zwłoki
odprowadził na cmentarz, — jak świat ten szeroki,
ja nie miałem nikogo — prócz Boga nademną
i błogosławieństw matki...... W oczach mi się ciemno,
w duszy straszno zrobiło; — nie wiem czy płakałem,
ale długo, o, długo, na grobie tym stałem,
na grobie mojéj matki..... aż w końcu usnąłem.....
Już słońce było w górze, kiedy się ocknąłem,
zimno wskróś mię przejęło, — głód strasznie doskwierał,
a wszędzie było pusto — gdziem tylko spozierał,
nigdziem głosu nie słyszał — i tylko w około
krzyże w Niebo wznosiły ramiona i czoło.
Sił mi brakło. — W tém starzec nachylony wiekiem,
który mi się szkieletem wydał nie człowiekiem,
podartego całunu okryty żałobą,
pociągnął mię za rękę i powlókł za sobą.
Poszedłem żebrać. (długie milczenie.)
Starzec w nagrodę mi dawał
chleb suchy raz na dobę — i spłowiały kawał
sukna, z licznemi ślady od woskowéj świecy,
snać resztki z katafalku, rzucił mi na plecy.
Och! wspomnienie téj nędzy dotąd serce rani.
Tak żebrałem dwa lata...... (po chwili.)
Kiedyś mię spostrzegł Xiąże — a litością zdjęty
rozkazał, abym został do służby przyjęty.
Przywieziono mię na wieś — odarty, schorzały,
znękany długim głodem, schylony, nieśmiały,
z owem piętnem haniebnem żebractwa na czole,
tydzień stałem przed zamkiem, klnąc moją niedolę!
Ktoś mię ujrzał — więc Xięcia o mnie zapytano.

Wrzucono mi odzienie — a potém kazano
paść trzodę..... Kiedym igrał z owieczkami memi,
nie marzyłem o większéj rozkoszy na ziemi.
Miałem w koło świat boski i słońce i kwiaty.
Zdało mi się że szczęście nie zgaśnie mi z laty. —
Raz pasąc moję trzodę — pod lasem w noc ciemną,
usłyszałem trzech ludzi rozmowę tajemną.
Zadrzałem. — Jakiś zamach zbrodniczy knowali,
jakąś zemstą grozili — przekleństwa miotali.
Natężyłem słuch pilniéj: imie wymówione
odkryło całą prawdę. Chłopstwo rozjątrzone
obejściem się tyrańskiém, miało wpaść o świcie,
by zamordować Xięcia, Xiężnę i ich dziecię.
W swéj zemście nawet dziecku przebaczyć nie chcieli. —
Już wyostrzywszy noże do zamku iść mieli,
gdy w ciemnościach ukryty do dworu dobiegłem
i Xięcia o zamiarze złoczyńców ostrzegłem.
Xiąże porwał zbrodniarzów. — Odtąd los mój cały
zmienił się — i swobody chwile uleciały!
Znikł urok méj ciemnoty. Za Xięcia staraniem
obdarzony nauką, sześć lat wychowaniem
trudniłem się Xiężniczki. — Wiesz resztę Majorze.
Dziś znalazłszy przytułek w twym gościnnym dworze,
choć mi tak błogo, dłużéj zostać tu nie mogę.
Powinność moja każe mi w dalszą iść drogę,
i pożegnać ze łzami twe progi, za chwile,
gdziem tyle doznał szczęścia i spokoju tyle.
Lecz gdziekolwiek mnie popchnie moje przeznaczenie,
wszędzie o twéj zacności uniosę wspomnienie.

MAJOR.

Idź — synu — gdzie cię wiedzie powinności droga
z miłością bliźnich w sercu, śmiało w imię Boga.

Dla ciebie świat otworem; a w spełnionym kresie
zacna praca korzystne owoce przyniesie.
Chociaż rozstanie z tobą smuci mię i boli,
nie chcę w niczém twéj słusznéj sprzeciwiać się woli.
Może już mię nie ujrzysz — tylko na mym grobie
przyjdziesz wylać łzę żalu; wtedy wspomnij sobie:
że ja ci byłem ojcem, przyjacielem, bratem.
To może jeszcze ciebie pogodzi ze światem.

(ściskają się.)

KONRAD (z rozrzewnieniem).

Powołaniem mém praca — ale w każdéj dobie
płacąc dług społeczeństwa, wiem com winien tobie.
Tyś mi był ojcem, bratem, ty mój umysł młody
kierowałeś radami. — Do twojéj zagrody
jak do rodzinnéj strzechy; choć tułacz, bez domu,
pospieszę z błogą myślą: że jest przyjąć komu,
że gdy wrócę okryty sławą którą gonię,
ty mi jak dawniéj podasz przyjacielskie dłonie
i w ojcowskie ramiona pochwycisz jak syna.

(po chwili.)

A teraz precz ze smutkiem! Zbliża się godzina
przybycia twoich gości. Nasze rozrzewnienie
dla nich wyda się śmiesznėm. Panów przeznaczenie:
wesołość i zabawy. Sercu milczeć każą

(przechadzając się zagląda w okno.)

Ale czemuż ich nie ma? kiedyż się pokażą?

(dzwoni.)

Czy kobiety przyjadą także?

MAJOR.

Niewątpliwie.

KONRAD (z roztargnieniem).

Przyjadą.

MAJOR.

Kogoż to tak czekasz niecierpliwie?

KONRAD (roztargniony).

Wszystkich — wszystkich. Wszak lubię towarzystwo nowe.
Weseléj trochę. — (służący wchodzi.)
(do służącego.)
Cóż tam? Czy wszystko gotowe?
Nie widać jeszcze? — Wyjrzyj, proszę ciebie, w pole.

SŁUŻĄCY.

Proszę Pana — herbata i lody na stole.
Pan Staborski i Xiąże August już są blisko.

KONRAD (przedrzyźniając żartobliwie).

Pan Staborski i Xiąże August już są blisko!
(do służącego, drwiąc.)
Czyś zwarjował? Co tobie? Szalony! szalony!
Jasny Pan Graf Staborski, Jaśnie-oświecony
Xiąże Pan raczą jechać. — Cóż znowu? — czyż trzeba
ciebie uczyć tytułów? Et — kawałka chleba
nie wart jesteś, bo nie znasz służby. Nie wiem za co
Pan Major trzyma ciebie, takiego ladaco!
Pan Staborski i Xiąże August już są blisko!
Oto zuch! oto tęgi! Oślisko! oślisko!
(do majora.)
Zmiłuj-że się — ucywilizuj go Majorze,
bo się możesz narazić ludziom; nuż broń Boże
utnie do kogo swoje: „zaraz proszę pana.“
A to figura wielka i dystyngowana,
jakiś ważny dygnitarz, choćby powiatowy
jakiś grand polski, — dziedzic — ot rozbrat gotowy;
wnet powiedzą że Major człek źle wychowany,
nie trzyma chamów w ręku.

(do służącego.)

Słuchaj! jasne Pany
ale to — same jasne Pany tu przyjadą.
Proszęż ciebie — miej rozum! Gdy przed dom zajadą
wyprostuj się jak świeca, — bądź na zawołanie,
a mów za każdém słowem wszystkim „jaśnie Panie!“

SŁUŻĄCY (drapiąc się w głowę).

Jasny Pan zawsze lubi żartować.

KONRAD (dobywając nosigrosz).

Masz za to
złotówkę, żeś mnie zrobił téż arystokratą.

(odwrócony).

Więcéj płacić nie warto! I ja jasnym Panem
dziś będę w towarzystwie tak dystyngowaném.

(do służącego, śmiejąc się.)

Ale słuchaj mój kasprze, drugi raz cię za to
obiję. —

SŁUŻĄCY.

To ja Pana nazwę demokratą.

(śmieje się.)

* * *
* *
*

Wchodzą: XIĄŻE, XIĘŻNA, HRABIA STABORSKI, HRABINA STABORSKA.

MAJOR (wstając).

(do dam.)

Witam Panie. — Jak się masz Xiąże?

(podaje rękę XIĘCIU i HRABIEMU.)

XIĄŻE.

Bon jour.

HRABINA.

Bon jour.

XIĄŻE (do KONRADA).

A! bon jour mon cher!

KONRAD.

Bon soir-car ce n'est plus le jour.

XIĄŻE.

Eh! farceur que vous êtes.

siadają wszyscy w półkole. HRABIA na brzegu — kręci ciągle młynka palcami z głupkowatą miną lecz nadętą.

XIĄŻE (do MAJORA, biorąc gazety).

No! cóż tam Majorze — wyczytałeś w gazetach?

MAJOR.

Wojna!

HRABINA.

O, mój Boże!

MAJOR.

Wszędzie nie pokój, spory.

XIĘŻNA (lornetując).

co w Paryżu słychać?

MAJOR.

Kluby.

HRABINA (z oburzeniem).

Próżniaki co się boją z głodu zdychać
Zrobili teatr wojny z téj pięknéj stolicy.
Z kimże spory? — Czy zawsze z tém błotem z ulicy
z tym motłochem — noblessa?

MAJOR.

Rząd z rzemieślnikami.

HRABINA.

Cette canaille veut prendre partout le dessus nad panami.

KONRAD (przerywając ironicznie).

Co to kanalja? — Pozwól Pani się zapytać?

HRABINA (naiwnie).

Kanalja? — Co gotowa za broń chwytać
gdy chce jeść; ten obmierzły lud, czerń, ta chołota,
ten burzan towarzystwa zrodzony śród błota,
ces bêtes maigres et affamées qui manquent toujours de pain,
et pour nous tourmenter hurlent sans cesse qu'ils ont faim;
ce fatras sans nom, sans coeur, sans foyer paternel,
qui est toujours capable de tappage éternel.
Jaki to dziś stan Francyi! Vraiment — c'est désolant.
Quel bonheur que la diselle n'attaque pas les grands.

KONRAD.

A! rozumiem. Więc głodu bogaci nie znają?

HRABINA.

Oh! mais je crois bien que non.

KONRAD.

I nie umierają?

HRABINA.

Z głodu?

KONRAD.

Tak.

HRABINA.

Co Pan mówisz? Pan się ze mnie śmieje.
Mais-fi donc! Mourir de faim

KONRAD.

Więc powszechne dzieje
Fałszywie nam podają śmierć z głodu lub z biedy
pierwszych bogaczów świata?

HRABINA.

Któż to widział kiedy?

XIĄŻE (do Konrada).

Nie rozumiesz Hrabiny. Widzisz bo mój drogi —
zarówno może zginąć bogacz jak ubogi
jeśli djabeł do głupstw tam jakichś go namówi;
lecz Pani o tych tylko — o tych tylko mówi,
qui ne veulent pas s'encanailler. Komu w głowie świta,
kto brednie filozofów, lub poetów czyta,
może ziemię gryść z głodu, mais pas dans son chateau.

KONRAD.

A! (Oddala się.)

HRABINA.

Magnatów w więzieniu on mourrit des gatteaux.

XIĘŻNA (do hrabiny).

Oto mu przyciął. Dobrze. Ma teraz za swoje.
Oh! le drôle! O, z mym mężem trudno staczać boje,
Język ma uszczypliwy, dowcip niesłychany.

HRABINA (do xiężny).

Cha! cha! cha! Biedny Konrad! Patrz jaki zmieszany.

MAJOR (do hrabiego).

A Pan Hrabia — czy zawsze tak stroni od ludzi?

HRABINA (podchwytując).

Mój mąż zawsze się w każdém towarzystwie nudzi.

(do męża.)

Mężu! Pan Major pyta.

HRABIA.

Ha!

HRABINA.

Pan Major pyta:

czyś zawsze tak samotny?

HRABIA.

Ja? — Zawsze — i kwita.

MAJOR.

Dla czegoż?

HRABIA.

Tak.

MAJOR.

Pan Hrabia towarzystw nie lubi.

HRABIA.

O, co nie, to nie!

HRABINA (do xiężny).

Qu'il est bête! I tém się chlubi.

MAJOR.

To nie dobrze.

HRABIA.

Nie mam z kim żyć tu.

MAJOR.

A sąsiedzi?

HRABIA.

Parwenjusze i szlachta. Nie cierpię gawiedzi.

MAJOR (uśmiechając się).

Wszakżem ja także szlachcic.

HRABIA.

Hm! W Niesieckim pono,
Ostrowieckich malują z xiążęcą koroną.

MAJOR.

Tam nie ma wzmianki o mnie.

HRABIA (kłaniając się).

Szanuję zasługi.

(wśród tej rozmowy KONRAD który był w głębi teatru zbliżywszy się, oparł się na fotelu MAJORA.)

KONRAD (półgłosem).

Termin już nie daleko; a Hrabia ma długi.

(Wchodzi służący.)

SŁUŻĄCY.

Proszę Pana. Jasny Pan Graf Prezes Drabiński
przyjechał i Jasny Pan Graf Edward Tężyński.

MAJOR (wstając do KONRADA).

Widzisz — cożeś narobił! Warjacie — warjacie!

* * *
* *
*

Wchodzi PREZES DRABIŃSKI otyły z orderami.

PREZES (obejmując MAJORA).

Kochanego Majora!

MAJOR (podając rękę DRABIŃSKIEMU).

Witam.

PREZES.

Jak się macie.

(przechodząc koło KONRADA, chciał z nim przywitać się, ale rzuciwszy okiem na towarzystwo, nie kłania mu się. Witają się XIĄŻE, XIĘŻNA z PREZESEM.)

PREZES (z przymileniem).

A! szanowni sąsiedzi! (całuje poufale rękę XIĘŻNY.)
Mója Xiężno droga!
(obraca się do HRABINY.)
Ach kochana Hrabino! (ściska ją za rękę.)
(do HRABIEGO.) Staś! (do XIĘCIA.) Gucio! (ściskają się.)
na Boga!
na mój honor! milszego towarzystwa w świecie,
w Paryżu, w Petersburgu, w Wiedniu nie znajdziecie;
jakże to miło, żeśmy się tu zbiegli wszyscy!
Bo prawdę powiedziawszy, choć sąsiedzi bliscy,
tak się rzadko widujem.

XIĘŻNA (przysuwając fotel).

Niechże Prezes siada.

PREZES (siada).

Dziękuję droga Xiężno!
(postrzegając za sobą KONRADA, wyciąga rękę zimno, nie wstając.)
A! Pana Konrada! —
Tylko co extrapocztą odebrałem listy.....

KONRAD (przechodząc koło MAJORA półgłosem).

To pewno z trybunału od protokolisty,
a zobaczysz co powie.

PREZES.

.....od Ambassadora —

KONRAD.

A co?

PREZES.

.... jeden (szuka w kieszeniach) i razem trzy od Senatora.

KONRAD. (do PREZESA).

Senator zawsze razem po trzy listy pisze?

PREZES.

Tak; — ten poczciwy Oleś; tęskni za mną; słyszę,
że list za listem goni, na Boga mię prosi:
żebym kiedy przyjechał znów do jego Zosi.

(dobywszy listy przegląda je.)

Pisze mi, iż bezemnie apetytu niema
i mnie niecierpliwemi wygląda oczyma.

(po chwili.)

Poczciwy! To przyjaciel! Mało takich ludzi!
Moja wziętość w nim żadnéj zazdrości nie budzi.

KONRAD.

Któż to Oleś?

PREZES.

Ardeli. Mój przyjaciel szczerzy
i — razem urzędowéj kolega karjery.

KONRAD.

Czy służyliście razem?

PREZES.

Nie! On był w stolicy;
Zawiązałem z nim przyjaźń jadąc z za granicy,
a piastując w prowincji rozliczne godności,
w stolicy mieć musiałem mnóstwo znajomości.

KONRAD.

A Zosia — którą Prezes tak czule wspomina?
Oho, ho! — piękna też to musi być dziewczyna,
słodka i od natury hojnie obdarzona,
kiedy tak Pana nęci.

PREZES.

Gdzież tam! Jego żona.

KONRAD.

O! tém gorzéj — tém gorzéj! A czyż to się godzi,
że pan Prezes tak śmiało cudze żony zwodzi.

PREZES.

Ależ ona ma syna w moim wieku prawie.

KONRAD.

To — Zosia!

PREZES.

A mnie tylko przyjmuje łaskawie.

KONRAD.

Cha-cha-cha! To ma syna prawie w wieku Pana?!...
A wieleż ma lat pańska Zosia ukochana?

PREZES (jękając się).

Lat ma pięćdziesiąt kilka może więcéj trocha.

KONRAD.

Pięćdziesiąt kilka tylko? Lecz musi być płocha,
gdy pana bałamuci. A w którymże wieku
dał Pan Bóg Zosi synka!

PREZES.

Ach nudny człowieku
z swojemi pytaniami. — Czyż ja przytém byłem!
Właśnie ważną podówczas w powiecie sądziłem,
z Radziwiłłami sprawę.

KONRAD.

O drogi Prezesie (całuje go w ramię),
widzę żeś w tych datach zabłąkał jak w lesie. (odchodzi.)

MAJOR (do KONRADA).

Ach! już eś się rozpaplał.

PREZES.

Jak źle wychowany.

MAJOR.

Przebaczcie mu. On zawsze nieco roztrzepany,
Wszakże go od dawna znacie. A chłopak poczciwy.
Literat! — więc być musi trochę uszczypliwy.
Ale dobre ma serce; a choć się rozgada,
choć go czasem do wierszów manja napada,
choć coś i z filozofji, jak z gorączki bredzi,
nie dla kształtu ta głowa na karku mu siedzi.

XIĄŻE.

Certainement.... un jeune-homme, très comme il faut savant;
mais..... je n'ose le supposer, moi qui l'estime tant —
A..... peut être dans notre avis ferons nous disparate,
mais..... je le crois, hèlas, partrop démocrate.

MAJOR.

Cóż chcesz przez to rozumieć? Jego pochodzenie —
sposób myślenia — imię — pozycję — czy mienie?

XIĄŻE (śmiejąc się).

Malheureusement — i jedno i drugie i trzecie..... (poważnie.)
Vraiment — aż strasznie spojrzeć, co się dzieje w świecie,
jak młodzież nasza w dziwnym urojeń zapale,
chce wielkość rodu z gminem na jedną kłaść szale,
jak wszystko w barbarzyńskiéj swych pojęć dążności
do jakiéjś wymarzonéj w ich głowach równości,

bez czci dla imion, zasług, fortuny, urzędu,
chce z gruntu zniwelować bez żadnego względu.

(powstaje w uniesieuiu.)

To plaga społeczeństwa — tych półgłówków zgraja,
co tak zgubne zasady demokracji wpaja,
w najzdolniejsze — niestety! — umysły młodzieży;
i już..... już..... w naszéj klassie tę zarazę szerzy.

(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT DRUGI.

Salon w domu Majora. Po prawéj stronie widzów stół wielki, na którym lody w miseczkach. Z brzegu na fotelu Hrabina. Przy niéj krzesło. Za nią Xiężna robi kwiaty sztuczne. Pośrodku Major, Konrad z cygarem w ustach. Po lewéj stronie stolik, przy którym Prezes, Hrabia grają w szachy, obróceni do widzów. Koło nich Xiąże z cygarem.

Wchodzi TĘŻYŃSKI z przesadą ubrany, w zielonym rajtfraku, z błyszczącemi guzikami i ogromnym złotym łańcuszkiem od zegarka. Na szyi lornetka. MAJOR zbliża się ku niemu, wychodząc na środek pokoju.

EDWARD (do Majora).

Przepraszam, żem się spóźnił. Przebrać się musiałem.
Na zaprosiny twoje jak warjat leciałem.
Szósty koń zdechł mi w drodze. Daléj wszystkie konie
zajęździę w mych podróżach, tak latam, tak gonię. —

(przychodząc do dam.)

Bien bon jour (Hrabina podaje mu rękę do uściśnienia, Xiężna z niechęcią odwraca się).

(do Xięcia.)

Zdrowie Xięcia? (Xiąże kiwa głową.)

XIĘŻNA (do Hrabiny).

Hm! Jaki troskliwy!

EDWARD (zawsze z żywością).

(do Hrabiego, całując go.)

Jak się masz drogi Stasiu! (Hrabia obciera się chustką.)
ach! Jakżem szczęśliwy,
że tak miłe zebranie zastaję tu razem.

(wita się z Prezesem i Konradem.)

(do Majora.)

Każde twoje żądanie dla mnie jest rozkazem.
Wezwałeś mię na wieczór; do usług się stawię.
Lecz przebacz, że nie długo u ciebie zabawię
i w prędce cię pożegnam, kochany Majorze.
Ledwo mię nie rozerwą — na honor.

XIĘŻNA (do Hrabiny z ironją).

Mój Boże!

EDWARD (obrócony do wszystkich mówi do mężczyzn).

Ten prosi na herbatę, a tamten na łowy.
Tu kwartet, tam znów jakiś spacer sielankowy.
Ten mię wzywa na karty, tamten na wieczerzę,
słowem tyle zajęcia, że przyznam się szczerze,
czasu mi nie wystarcza.

MAJOR.

Nie zazdroszczę wcale
tylu uciech.

EDWARD.

Bawię się przytém doskonale.
Czyż chcesz, drogi Majorze, bym podobny tobie
tak się w domu zakopał samotny jak w grobie?
i tak znudniał, ztetryczał?!... (ściska go.)

MAJOR.

Lecz ja się nie nudzę.

XIĄŻE (z przekąsem).

Major woli dom własny, niźli kąty cudze.

(XIĘŻNA trąca Hrabinę, która niezadowolenia znaki okazuje.)

XIĘŻNA.

Wesoło Pan się bawisz. Cha-cha!

EDWARD.

Wierz mi Pani,
Nic milszego nad takie życie na *kampani.*

XIĘŻNA.

Oh! allez donc-avec vos campagnes detes tables.

EDWARD.

Pani żartujesz. —

XIĘŻNA.

Dutout. Tout est abominable
na wsi. — Jam tu od roku, et je me sens languir.
Oh! tout-tout en commençant pas les hommes pour finir,
na tym czułym słowiku, co ci w uszach wierci.

HRABINA (z westchnieniem).

Ach, życie na wsi, to prawdziwy obraz śmierci.

MAJOR.

To nie bardzo nam schlebia.

XIĘŻNA (ściskając rękę Majora).

Ach! mais mon bon ami,
Czemuż się nie chcesz liczyć między excepcjami.
Wszak są ludzie i na wsi. —

HRABINA.

On trouve de l'or partout,
pourvû que l'on le cherche, et même dans la boue.

XIĄŻE.

Allons! c'est trop! Wszak mamy tak miłych sąsiadów,
Baron Krug, Hrabia Drozd.....

HRABIA (szyderczo śmiejąc się).

Drozd? — Hrabia? —

XIĄŻE.

O! z naddziadów.

HRABINA.

Cha, cha, cha! To coś pachnie hrabstwem galicyjskiém
albo żmudzkiém.

MAJOR.

Dziad jego osiadł w Kołomyjskiém.
A ojciec został hrabią.

XIĘŻNA.

Comment w Kołomyji?

HRABINA.

Za cóż?

MAJOR.

Za to, że dziadek miał stryczek na szyji.

XIĄŻE.

Eh! do czegoż wznawianie boleśnych pamiątek!

MAJOR (uśmiechając się).

O, owszem. Na naukę dla młodych hrabiątek.
Pan Drozd ma sześciu synów.

XIĄŻE.

Tém lepiéj dla niego.

MAJOR.

Niech więc dla nich się zrzecze tytułu hrabiego,
który się dostał ojcu za dziada drabinę. —
Tém przynajmniéj, choć w części, zmaże przodków winę.

PREZES (grając z Hrabią w szachy).

Szach królowi! (obraca się do towarzystwa.)
Zupełnie tak gra stała, kiedym raz w stolicy
grał z feldmarszałkiem. Tutaj, w całéj okolicy

niktby mu nie wyrównał. Ou! grał z djabłami.

(wstaje i zbliża się do dam.)

O czémże państwo mówią?

EDWARD.

Kłócę się z paniami.
Niech mi Prezes pomaga. Dowodzą mi Panie,
że na wsi nie ma życia.

PREZES.

To trudne zadanie.
Jednak przyznam się państwu; wiele miast zwiedziłem,
Rzym, Drezno, Wiedeń, Paryż, i w Londonie byłem,
Lecz wszędzie się nudziłem okropnie, straszliwie.
Dopiero kiedym na wieś powrócił szczęśliwie,
odetchnąłem swobodniéj; bo powiedźcież, proszę,
co robić za granicą? — Ja zgiełku nie znoszę;
a w tłumie człek się jakoś zaciera i niknie,
nim porobi znajomych i do nich przywyknie.
W stolicy mieszkać lubię. No! to co innego;
tam z każdym prawie krokiem spotkam znajomego.
To kolega, ten krewny, senator, hofmeister,
arcybiskup, admirał, minister, sztalmejster.
A jacy dobrzy ludzie! ach jacy, aż miło.
W stolicy nigdy życie mi się nie sprzykrzyło.
Lecz czas było odpocząć i po trudach tylu
spokojnie osiąść na wsi w moim Złotowilu

KONRAD.

I pewno w swoich dobrach mieszkałbyś jak w raju,
gdybyś zdrowia nie stracił na usługi kraju,
w tyloletnim urzędzie, czcigodny Prezesie.

PREZES.

Cóż robić? I to czasem pociechę mi niesie

żem urzędując cierpiał dla lubéj ojczyzny,
choć mi praca stargała zdrowie, a nie blizny.
Teraz osiadłszy w domu choć się nudzę czasem,
jednak mi już nie tęskno za miejskim hałasem.
(siada do szachów.)

HRABINA.

Dla nas na wsi doprawdy tak resursów mało
że można umrzeć z nudów. Za zabawę całą
gaik, łąki, strumyczek, dla rozrywki mamy.
Rozkosz to dla pasterki, ale nie dla damy.

KONRAD.

Czemuż Pani w swéj łasce do tyla się zniża
że mieszka z nami, zamiast jechać do Paryża.

HRABINA (zakłopotana.)

Les affaires de mon mari. . . .

KONRAD.

Ach to te afery!
Jest to droga zapłata za ton i manjery
sprowadzone z Paryża. Stamtąd i afery,
ale za to téż ztamtąd, dobry ton, manjery.
A choć dziury w kieszeni, chociaż klną dłużnicy
choć włościanie pracują w pocie i krwawicy,
gdy się zarwie grosz w banku, kiedy biéda minie,
miło jakoś odetchnąć w Dreźnie lub Berlinie.
N'est ce pas Madame? przepraszam, Madame la comtesse?

HRABINA (urażona)

Widzę iż Pan nie grzeszysz par trop de gentillesse
Zawsze jeden i jeden od kiedy znam Pana
A mam przyjemność być mu od dzieciństwa znana
Wiecznie mi Pan. . . . . .

MAJOR.

E! Niechże Państwo się nie kłócą
i na inny już przedmiot rozmowę tę zwrócą.

(śmiejąc się.)

To wojna do zdybania, zacięta i krwawa.

KONRAD.

Mów-bo. Za pozwolenie Pana Władysława;
Pani mi powiedziałaś, że prócz łąk, gaików,
nie ma tu innych zabaw dla nas śmiertelników
czyżto wszystkie już życia naszego są cele
nieustanne zabawy i ciągłe wesele? —
Czy tych którymi Pani samowładnie rządzisz,
wszystkich już, bez majątku szczęśliwymi sądzisz?
Czy nie masz wdów, lub sierot, chorego, kaleki,
któryby twojéj, Pani, zażądał opieki? —
czy kmiotkom sprawiedliwość zawsze wymierzona? —
Czy czuwa nad tém władza Pani powierzona? —

HRABINA.

Pozwól — że ci na wzajem zrobię zapytanie? —
Czy do klasztoru czujesz czasem powołanie? —
Czy cię nie bierze chętka prawić na ambonie,
to samo co nam zawsze rozprawiasz w salonie? —

(śmieją się.)

XIĄŻE (wstając — do KONRADA.)

Allons — cher! Bas les armes! jesteś zwyciężony.
Ach, jakie bo téż wieczne prawisz nam androny

(śmiech.)

(Serjo.) Sam-że przyznaj Konradzie, że mimo nauki,
niestworzone nam jakieś pleciesz baneluki.

XIĘŻNA (wesoło.)

Pauvre Conrad! — oskoczony — cha, cha! de tous cotés.

HRABINA (do xiężny.)

Ah! comme ça doit faire mal, d'être ainsi picôte!

(do Konrada.)

Pas moyen de se défendre. —

XIĄŻE.

Cóż nasz kaznodziejo!

Patrzaj, aż mi żal ciebie; tak się wszyscy śmieją.

Ha! Trzech nie umie zliczyć. Et bien! mon cher ami!

Czy jeszcze nam wystąpisz z twoimi kmiotkami?

He? cha, cha, cha! cóż? milczysz?

KONRAD.

Dziwię się....

XIĄŻE.

No! Czemu? —

KONRAD.

Dziwię się....

XIĄŻE.

Daléj! Śmiało! — Mówże po swojemu.

KONRAD.

Dajcież mi mówić

XIĄŻE.

Płaczesz. No! gadajże przecie.

KONRAD.

że Państwu tak wesoło i dobrze na świecie —

XIĄŻE.

Tyle tylko?!....

KONRAD.

Tyle.

XIĄŻE.

No! niechże i tak będzie.
Ale zgodź się, że jesteś w opłakanym błędzie
z tym swoim entuzjazmem.

KONRAD (odwracając się, półgłosem.)

A! to groch o ścianę.
(głośno.) Wolę milczeć, lecz pozwól że w błędzie zostanę.

(odchodzi.)

XIĄŻE.

Incurable démocrate!

Słychać dalekie klaskanie z bata i dzwonki. — Major wygląda przez okno. — Tężyński siada koło Hrabiny i szepcze z nią.

PREZES (do xięcia.)

Ta drobna szlachta nasza jest zawsze zuchwałą.
A każdy taki pewny, tak rozprawia śmiało,
nie szanuje urzędu ni zasług dla kraju,
i szyderstwo jest u nich jakby we zwyczaju.

słychać turkot powozu. — Prezes zwraca na to uwagę Majora:

Otóż masz nowych gości, Majorze, nareszcie.
Jakie liczne zebranie! na honor — jak w mieście.

(odchodzi z Majorem.)

* * *
* *
*

Xiąże siada po lewéj stronie, bierze gazetę i czyta. — Tężyński zbliża się do xięcia, który mu od niechcenia odpowiada, patrząc w gazetę.

EDWARD (do Xięcia).

A Xiężniczka Matylda?...

XIĄŻE (surowo).

Co? —

EDWARD (zmięszany).

nie przyjechała? —

XIĄŻE (z półuśmiechem pokazując obiema rękami).

Nie ma jéj tu.

EDWARD.

Tak nie ma; więc w domu została?

XIĄŻE.

Zdaje się. —

EDWARD.

Czy nie chora?

XIĄŻE.

Chora.

EDWARD (z troskliwością).

Boże! Chora?!...
Panna Matylda? — Cóż to? — Może po doktora?
Natychmiast go przywiozę, gdy Xiąże pozwoli.

XIĄŻE.

Dziękuję — nic ważnego. Trochę głowa boli.
Lecz ból długo nie potrwa.

EDWARD (z przymileniem).

Tak, nie potrwa długo.

Żałuję, że nie mogę pospieszyć z usługą.

Możeby się poradzić!...

XIĄŻE (z ironicznym uśmiechem)

Jakto! Pan żałuje,

że moja córka szczerze się nie rozchoruje?

EDWARD.

Panna Matylda! Boże! Ach! Xiąże! Czyż można?...

XIĘŻNA (do hrabiny, parskając śmiechem).

Entends — tu ma chère?

HRABINA (z gniewem).

Ach, bądźże ostrożna.

EDWARD (po chwili).

Xiąże nie grywa w szachy?

XIĄŻE.

Nie. Ta gra mię nudzi.

Wolę warcaby.

EDWARD (z miną pochlebną).

Tak. To więcéj życia budzi.

(po chwili.)

W saméj rzeczy. Gra w szachy nie jest zajmująca.

XIĄŻE (z uśmiechem).

Nie tyle co warcaby.

EDWARD (po chwili).

Okropne gorąca

Mamy ciągle.

XIĄŻE.

Przeciwnie.

EDWARD (zakłopotany).

Tak. Wieczory chłodne.

Często deszcz.

XIĄŻE.

Od miesiąca ciągle dni pogodne.

EDWARD (kręcąc się na krześle).

Zapewne; lecz kalendarz zmianę przepowiada.

XIĄŻE.

Brednie prawi. (czyta ciągle.)

XIĘŻNA (do hrabiny).

Adonis. — o pogodzie gada. —

Otwierają się drzwi wprost przeciw widzów. W drugiéj sali w głębi zjawia się Mrozowicz, Mrozowiczowa, która strzepuje pył, poprawia kwiaty na głowie i okręca się pąsowym szalem tyftykowym. Za nimi stoją Major, Konrad; Tężyński obcierając się chustką wychodzi ku nim — wita się — i pomaga pani Mrozowiczowéj okręcać się szalem. —

* * *
* *
*

XIĘŻNA (do Hrabiny.)

Patrz — ma bonne chère Comtesse. Oto mi sosjeta!

(pokazując z koleji Tężyńskiego, Mrozowicza Mrozowiezowę i Konrada.)

Ekonomenik. Liwerant. Bona. Wierszokleta —
Przyjaciele Majora! cha — cha — cha! poczciwy!
z jakimi ludźmi żyje!

HRABINA.

Lubi ich.

XIĘŻNA.

Szczęśliwy!

(patrzy przez lornetkę.)

Admire donc ce grand quillard.

HRABINA (z gniewem).

Mais qui donc?

XIĘŻNA.

A tego
Ekonomenika.

HRABINA.

Kogoż?

XIĘŻNA.

Ach — tego miłego
trzpiotka, który jak piorun spadł tu od półroku
wszędzie lata jak wicher, i na każdym kroku
zawsze go spotkasz. Co za figura zabawna!

HRABINA (urażona.)

Czy mówisz o Edwardzie? Ja go znam od dawna.
Chère Princesse. Tężyński przeznaczeń koleją
w oczach tych nawet, co się z rodu jego śmieją

wzniósł się już na wysoki szczebel społeczeństwa.
Ma milliony a te mu nie ujmą pierwszeństwa
w towarzystwie. —

XIĘŻNA.

Milliony? chyba na księżycu.
I zkądże to?

HRABINA (tonem pewności.)

Sukcessja po kasztelanicu.

XIĘŻNA.

Co? co? co? kasztelanic Tężyński? o Nieba!
A to mu już do szczęścia nic więcéj nie potrzeba.
Kasztelanic Tężyński? hę? — a — t — on jamais vû?
cha — cha — cha! Je lui manquais de respect qui lui est dû.

HRABINA (spokojnie.)

Tak — jego stryj rodzony.

XIĄŻE.

Ależ moja droga!....

HRABINA.

Ja nie żartuję.

XIĘŻNA.

Cha — cha!

HRABINA.

Ach, na miłość Boga!
Nie śmiejże się tak Xiężno. Już wszyscy tak blisko.

XIĘŻNA.

Kasztelanic Tężyński. Ha! co za nazwisko?!!....

* * *
* *
*

Zbliżają się: MROZOWICZ, MROZOWICZOWA. Za nimi późniéj wchodzą: PREZES, TĘŻYŃSKI, MAJOR, KONRAD.

Pani Mrozowiczowa wchodzi naprzód — Xiąże bardzo układnie kłania się jéj, ceremonje między mężczyznami przy siadaniu, Xiąże z przesadzoną grzecznością wita się z Mrozowiczem, który ubrany w białych szerokich pantalonach, żółtéj pikowéj kamizelce we fraku starego kroju, ciągle wielkie czarne wąsy głaszcze. Kłaniają się wszyscy, Pani Mrozowiczowa zbliża się najpierwéj do Xiężny, całuje ją poufale, potém dyga. Xiężna obciera twarz chustką. Toż samo przywitanie z Hrabiną. Xiężna i Hrabina z największą grzecznością szukają miejsca dla Pani Mrozowiczowéj, jedna przysuwa jéj fotel, druga podaje kanwową poduszkę. Xiąże szuka krzesła dla Mrozowicza, sadzając ściska go za rękę, jakby mu chciał podziękować, że przyjmuje ten zaszczyt od niego. Hrabia nie ma gdzie usiąść, kręci się popychany od jednéj osoby do drugiéj. Nakoniec siadają wszyscy w nieporządku.

MROZOWICZ (plecami do Hrabiny).
(spostrzegłszy się.)

Ach! Przepraszam Hrabinę. (wstając ściąga szal z żony.)
(do żony.)
Przepraszam Cię duszko.

XIĘŻNA (do Mrozowiczowéj,
(podając jéj drugą poduszkę kanwową).

Może Pani wygodniéj będzie z tą poduszką?

(Pani Mrozowiczowa zakłopotana tylu grzecznościami, schylając się po szal, uderza Xięcia w nos ogromnemi kwiatami od czepeczka.)

XIĄŻE (z największą grzecznością).

Pardon Madame!

(robi poruszenie i posuwa Hrabiego, który niezgrabnie siada przed żoną.)

HRABINA (z nadąsaniem).

Mężu, nie widzę nic przez ciebie.

Hrabia cofa się gwałtownie, popychając plecami stojącego za nim Xięcia. Xiąże nie mając przejścia, przyduszony przez Hrabiego potrąca, podtrzymując się, aby nie upaść, panią Mrozowiczowę. W téj chwili Mrozowicz rzuca ogniste spojrzenie na Xięcia i ściska silnie rękę Tężyńskiego. — Gdy się to dzieje, Hrabina, która dotąd siedziała obok Xiężny, wstaje, bierze za rękę Panią Mrozowiczowę.

Proszę tu — o tu; będziem siedzieć obok siebie.

(Xiężna usuwa się. Mrozowiczowa siada między Hrabiną a Xiężną, mile uśmiechając się.)

MROZOWICZOWA.

Merci. Dziękuję Pani. Pani tak łaskawa...
Prawdziwie.... Proszę Xiężny....

(Xiężna figlarnie wachlarzem trąca Hrabinę po za plecami pani Mrozowiczowéj po chwili milczenia.)

MROZOWICZOWA (strzepując pył z szala tyftykowego).

Taka kurzawa,
że ja choć w karecie — cała pyłem przykryta.

XIĘŻNA.

A! widziałam karétę, prześliczna karéta.

HRABINA.

O! śliczna, bardzo piękna.

MROZOWICZOWA (z uśmiechem wdzięczności).

Hm! każdy ją chwali.

XIĘŻNA.

Bardzo dystyngowana; gdzie państwo dostali.

HRABINA (nie czekając odpowiedzi).

Co to za piękny tyftyk! Gdzie Pani kupiła?

XIĘŻNA.

Przepyszny.

MROZOWICZOWA.

Hm! niebrzydki! Trochem go znosiła.
Bo ja bardzo tyftyki lubię, ustawicznie
w nich chodzę. —

HRABINA.

Pani zawsze ubiera się ślicznie.

MROZOWICZOWA.

Prawdziwie...

XIĘŻNA.

Z wielkim gustem.

MROZOWICZOWA.

Pani tak łaskawa....
Zawsze mi wód i strojów dostarcza Warszawa.

XIĘŻNA.

Jaki to ładny bukiet!

HRABINA.

Cudowna piwonja.

MROZOWICZOWA.

Nie; to się po Warszasku nazywa paeonia.

HRABINA.

Ah — ah! to co innego. A dziateczki Pani?
Franusia zawsze miła?

MROZOWICZOWA.

Moja córka Fani.

HRABINA.

Ach, tak — tak! zapomniałam. Piękne imię Fani.
To także po Warszawsku?

MROZOWICZOWA.

Już przyjęłam dla niéj
Guwernantkę szwajcarkę.

HRABINA (do Xiężnéj).

Charmante petite enfant.

XIĘŻNA.

Oh! elle doit être bien jolie. Délicieusze Janfan.

MROZOWICZOWA.

Merci Madame.... prawdziwie.... że...

XIĘŻNA (do Mrozowicza).

A Pan Dobrodziéj?

MROZOWICZ (podnosząc się na krześle).

Co Pani Dobrodziko?...

XIĘŻNA (nie wiedząc co mówić).

Zawsze Pan Dobrodziéj...
Taki pilny gospodarz?... Pszeniczka w tym roku....

MROZOWICZ.

Zrodziła dzięki Bogu.

XIĘŻNA.

Tak?

HRABINA.

Mnóstwo stert w toku?

MROZOWICZ.

Jest chwała Panu Bogu. Człek nie będzie w biédzie.

XIĘŻNA.

Panu Mrozowiczowi gospodarstwo idzie.

HRABINA.

To nie dziw. Pan Mrozowicz gospodarz jak mało.

(Mrozowicz kłania się.)

XIĘŻNA.

Pan nie zna tego słowa „coś się nie udało.“
Nieprawdaż? Wszystko idzie jak z płatka u niego.

MROZOWICZ (kłania się).

O Pani!

XIĘŻNA.

Trza osobny mieć talent do tego.

HRABINA.

Niech mi Pan powie — proszę Pana Mrozowicza,
Wszak i mnie Pan do rzędu gospodyń zalicza,
Muszę się wszystkiém trudnić, bo mój mąż nie lubï
gospodarstwa i nawet często się tém chlubi.

HRABIA (zawsze kręcąc młynka palcami.)

O, co nié, to nié.

HRABINA.

Proszę — jaka tajemnica,
że u pana najwięcéj wydaje pszenica?
Pan Mrozowicz ma sekret wyłączny.

MROZOWICZ.

Nie — wcale.
Sekret ten zna ekonom każdy doskonale.

HRABINA.

Trzeba bić chłopów. N'est ce pas? (Mrozowicz kiwa głową.)
pauvres bêtes! lecz cóż robić?
Nie będzie urodzaju, pokąd ich nie obić.

MROZOWICZ.

To nie chybi.

MROZOWICZOWA.

Mój Piotruś musi ustawicznie,
porać się z nimi. —

MROZOWICZ.

O, tak!

HRABINA.

Dla tego tak ślicznie
u Pana Mrozowicza pszeniczka się rodzi,
Dla tego się tak Państwu we wszystkiém powodzi.
Więc to jest cały sekret. Teraz się nie dziwię
ich szczęściu. —

MROZOWICZOWA.

Pani taka łaskawa.... prawdziwie....
że się interessuje nami ustawicznie. —

KONRAD (do Majora).

Daj-że już im herbatę kiedy tak logicznie
sprężynę Ekonomji politycznéj zgadli,
by znów na jaki traktat uczony nie wpadli.

Służący wchodzi.

Herbata gotowa.

MAJOR (wstając, podaje rękę Xiężnie).

Służę Pani. Przejdziemy do przyległéj sali.

XIĄŻE (podaje rękę Hrabinie).

PREZES (podając rękę Mrozowiczowéj).

Szkoda że nam w porę rozmowę przerwali;
właśnie, chciałem powiedzieć, gdym zwiedzał stolicę,
sam mi minister skarbu odkrył tajemnicę
powiększenia dochodów (głos jego ginie w głębi).

Hrabia prowadzi pod rękę Tężyńskiego. — Za nim idzie Konrad z Mrozowiczem.

KONRAD (do Mrozowicza).

U Państwa jak widzę
Rólnictwo postępowe.

MROZOWICZ.

O ja nienawidzę
nieporządku.

Wszyscy oddalają się.

* * *
* *
*

Naprzeciw środkowych drzwi, w głębi teatru widać salę oświeconą. Po środku stół. Na nim naczynie do herbaty. Siadają na około stołu. Z bocznych drzwi nowi przybywają goście przechodząc przez bawialnię. Na progu wita ich Major i prowadzi do jadalnéj sali. Gdy większa część towarzystwa usiadła koło stołu wpada Mrozowicz na przód sceny, gwałtem ciągnąc za sobą Tężyńskiego. —

MROZOWICZ.

Ha! słuchaj! słuchaj — ledwie żyję,
Ja mu w łeb strzelę, ja go zduszę, ja go żbiję.
Widziałeś?

EDWARD (zdziwiony).

Co?

MROZOWICZ.

A tego tam arystokratę. (biega poruszony).
O, ja mu zaraz tęgą sprawię tarapatę.
Czy widziałeś?

EDWARD.

Co? Kogo?

MROZOWICZ.

Oh! tego brzuchala. —
Mrozowicz sobie w kaszę napluć nie pozwala.

EDWARD.

Cóż znowu?

MROZOWICZ.

Uchybił mnie.

EDWARD.

Mówże, kto i kiedy?
Piotrze! chcesz już do jakiejś zaciągnąć mnie biedy?

MROZOWICZ (chodząc szybko).

Ha! ten ar — ry — sto — kra — ta! a! hultaj — ladaco!
Bądź moim sekundantem. —

EDWARD.

Ależ z kim i za co?

MROZOWICZ.

Z Xięciem. Potrącił żonę. — Siadł jéj na kolana.

EDWARD.

Eh! zmiłuj się.

MROZOWICZ.

Ho! znam ja tego Mości pana.

EDWARD.

Czyś oszalał? przypadek.

MROZOWICZ.

Wcale nie przypadek.
Takim był jego ojciec, dziadek i pradziadek.
To dumna bestja z rodu.

EDWARD.

A ja ci powiadam.....

MROZOWICZ.

Eh! pleciesz! Zastrzelę go. To ci powiadam.

EDWARD.

Ależ Piotrze.

MROZOWICZ.

Eh! ale!..... To arystokrata,
znam się na tém.

EDWARD.

Przeprosił.

MROZOWICZ.

I cóż? To nie racja!
Nadto grzeczny.

EDWARD.

Azatém szukasz awantury?

MROZOWICZ.

Ho — ho! Trzeba nauczyć. A! łotry! a! gbury!
Ar — ry — sto — kra — ty! Co mi że w szkatule grosze!

EDWARD (chce odejść).

Późniéj pomówim o tém. Zostawże mnie, proszę.

MROZOWICZ.

Co? — późniéj? Jednéj chwili nie mam do stracenia.

EDWARD.

Cóż pilnego?

MROZOWICZ.

Czy chcesz mieć ze mną do czynienia?
Ja mój honor szanuję.

EDWARD (łagodnie).

Piotrusiu kochany!
Rozważże trochę. Strasznieś gorąco kąpany.
Chcesz zakłócić przyjemność miłego wieczora,
I tego poczciwego zasmucić majora.
Zastanów się: co na to powiedzą sąsiedzi?

MROZOWICZ.

E! To arystokrata. Na dwóch stołkach siedzi.
I z panami i z szlachtą. Mniejsza tam o niego.

EDWARD.

To mniejsza; ale powiedz, cóż ci tak pilnego?

MROZOWICZ.

Dość miałem cierpliwości, gdy przez wzgląd na damy —
Milczałem. —

EDWARD.

Słuchaj Piotrze. Szczerze pogadamy:
Żądasz mojéj usługi — Odmówić nie mogę.

(Mrozowicz ściska go.)

EDWARD (daléj mówi).

Lecz zważże na jak przykrą wprowadzasz mię drogę.
Tylko słuchaj! Otwarcie przed tobą się zwierzam.
Wiesz że kocham Matyldę i w prędce zamierzam
Rodziców o jéj rękę prosić.

MROZOWICZ.

A! Toć właśnie
zabłysło tobie szczęście. Chwytaj je nim zgaśnie.
Podasz srogie warunki i temi środkami
wymożesz na nim słowo. — O! tak, tak z panami!
Matylda będzie twoją, lub ja w łeb mu strzelę.
Tym sposobem nie będzie ceremonji wiele.
A ty mi.... (całuje go).

EDWARD.

To okropne! Nie! To być nie może!

MROZOWICZ.

Ot! jaki romansowy!... Poeta!... mój Boże!...
Skąd ci się filozofia wzięła?

EDWARD (po chwili namysłu).

Jak chcesz sobie.
To zdrada — postęp — podłość. Ja tego nie zrobię. —

MROZOWICZ.

Przestań prawić morały. W posagu milljony;
Matylda twoją. —

EDWARD (zamyśla się).

A twój honor ocalony?

MROZOWICZ (czule).

Twe szczęście może nawet zmyć obrazę moją.

EDWARD (surowo patrząc mu w oczy).

A ty, cóż na tém zyskasz?

MROZOWICZ (podaje rękę Tężyńskiemu, który się cofa i chowa swoją rękę).

Zyskam przyjaźń twoją.

EDWARD (z pogardą).

Straciłeś ją w téj chwili.

MROZOWICZ (popędliwie).

Ha! masz do wyboru:
Strzelaj się ze mną, ale broń mego honoru.

EDWARD (dumnie podnosząc głowę).

Chcesz mię straszyć. Dość tego. O! wybór nie trudny.
Jeślim się brukał, jeszczem nie zupełnie brudny.
Potrafię zrzec się wszystkich najdroższych mych marzeń,
zrzec się Matyldy, ale moich wyobrażeń
dla miłości nie zmienię. —

MROZOWICZ.

Matylda cię kocha.
a ten dziki twój skrupuł, twoja duma płocha
w grób ją wpędzi. Z jéj ojcem niema innéj rady.
Popełnisz więc zabójstwo, gdy lękasz się zdrady.

EDWARD (z zapałem).

Kocha mnie? — Ach! czy kocha?...

MROZOWICZ.

Mówię ci, szalenie!

EDWARD.

I mnie się także zdaje... Miałem podejrzenie.....
ale nie.... Co tu począć? Gdybym miał wzajemność.

MROZOWICZ.

Ojca przymusisz strachem.

EDWARD.

Nie — nie, to nikczemność!

MROZOWICZ.

Tak — nikczemność: zabijać to nieszczęsne dziécię,
Fałszywy punkt honoru, gdy idzie o życie. —

EDWARD (z wyrazem rozpaczy).

A! — wielka nawet cnota małych plam nie zetrze.
(po chwili.)
Późniéj zaś pomówimy z sobą, Panie Pietrze!
(chce odejść.)

MROZOWICZ (ściskając Tężyńskiego, który się uchyla).

Dobrze, drogi Edwardzie — potém zrobisz ze mną
co chcesz, byle ma prośba nie była daremną. —
(patrzy mu w oczy.)
Więc przyjmujesz? przyjmujesz? — Ach! jakżem ci wdzięczny.
W twoim ręku mój honor. Wiem że jesteś zręczny
i jakoś z towarzystwem tém Pańskiém obyty. (ściska go.)
O mój Edziu! Sekundant z ciebie wyśmienity.
Ty potrafisz dać sobie radę z tym cietrzewiem.

EDWARD (półgłosem).

Otom wlazł! Dobrze mi tak. Jak wybrnę? sam nie wiem.

* * *
* *
*

Postscenium, które można opuścić.

W przyległéj sali, gdzie towarzystwo całe zebrane, słychać głośniejszą rozmowę. Gwar wzrasta. Nakoniec daje się słyszeć głos:

Na Marszałka Gubernji wszyscy jednogłośnie
prosimy Xięcia Pana. —

GŁOSY.

Tak. Tak. — Jednogłośnie,
Jednogłośnie prosimy.

XIĄŻE (siedzący naprzeciw widzów wstaje i mówi głośno).

Za zaszczyt dziękuję. —
Lecz Panowie przebaczą — że go nie przyjmuję.

(Gwar zwiększa się. — Tężyński i Mrozowicz idą do jadalnéj sali.)

JEDEN Z GOŚCI (prowadząc pod rękę drugiego).

A co? czy nie mówiłem. Jemu wlazło w głowę
co innego.

GOŚĆ DRUGI.

Eh! eh! eh! Sztuki wyborowe.

GOŚĆ PIERWSZY.

Guberskie Marszałkostwo dla niego — to mało!
Jeszcze się dąsa, jakby mu to ubliżało.

GOŚĆ DRUGI.

Ale czegoż już więcéj może się spodziewać!?

GOŚĆ PIERWSZY.

Albo ja wiem! Ha! jemu może się zachciewać
Senatorskiego krzesła, portfelu Ministra. —
Gardzi szlachtą.

GOŚĆ DRUGI (śmiejąc się).

Co mówisz?!... Ministra?... Ministra?!..

GOŚĆ PIERWSZY.

Śmiéj się. I więcéj jeszcze. Hm! Cóż w tém dziwnego?
Ty nie znasz naszych Panów.

GOŚĆ DRUGI (po chwili namysłu).

Prośmy Staborskiego.

GOŚĆ PIERWSZY.

Ależ zmiłuj się! Głupi —

GOŚĆ DRUGI.

Tém lepiéj.

GOŚĆ PIERWSZY.

— i dumny.

GOŚĆ DRUGI.

A Xiąże August byłby lepszym, że rozumny?

GOŚĆ PIERWSZY.

Żona go za nos wodzi.

GOŚĆ DRUGI.

I cóż stąd? — To żona
zostanie Marszałkową — i sprawa skończona.
Będzie nam dawać bale, z kuchnią doskonałą.
Jak cię kocham, Marszałkiem będzie jakich mało.

GOŚĆ PIERWSZY.

Po uszy w długach.

GOŚĆ DRUGI.

Co tam! To szlachta popłaci.
Widzisz — jakoś — bo lepiéj by arystokraci
stali na czele rządu.

GOŚĆ PIERWSZY.

Zapewne. — Nie przeczę.

GOŚĆ DRUGI.

Trzeba kończyć; — bo tak już narada się wlecze
zbyt długo. To mię nudzi. Co tam — byle prędzéj!

GOŚĆ PIERWSZY.

Lecz cóż to za Marszałek będzie bez pieniędzy?

GOŚĆ DRUGI.

Niech sobie radzi jak chce.

GOŚĆ PIERWSZY.

Wreszcie strasznie mały.

GOŚĆ DRUGI.

Ale gruby, poważny. —

GOŚĆ PIERWSZY.

I nie okazały.

GOŚĆ DRUGI.

Owszem — łysy. E! dobry. (głośno obracając się do towarzystwa).
Hrabiego prosimy.

GŁOSY Z SALI.

Hrabiego — Jednogłośnie — prosimy — prosimy. —

HRABIA (wstaje — i mówi jękając się).

Moja żona zajęta. Dziękuję — nie mogę,
przepraszam — nie podołam — i nic nie pomogę.
Niech mię Państwo uwolnią.

GŁOSY.

O! za nic. Niech żyje!
Wiwat Hrabia Staborski. Niech żyje — niech żyje! —

Gość pierwszy ciągnąc za sobą drugiego.

PIERWSZY.

Słuchaj no!

DRUGI.

He?

PIERWSZY.

Ot — wiesz co — przyszła mi myśl nowa —
gdyby prosić Prezesa. Wszak to dobra głowa.

DRUGI.

Na co nam głowa?!...

PIERWSZY.

Zacny człowiek.

DRUGI.

I cóż z tego?
Najprzód wątpię o głowie — a potem zacnego,
na diabła nam obierać?

PIERWSZY.

Ma stosunki liczne, —
bardzo dystyngowane i arystokratyczne
z pierwszemi figurami w kraju i w stolicy.
Właśnie tacy są tylko dobrzy urzędnicy.

DRUGI.

Ha! to prawda! E! mniejsza. Więc prośmy Prezesa.

PIERWSZY (idąc do sali).

Prezesa Drabińskiego prosimy.

GŁOSY.

Prezesa
Jednogłośnie prosimy.

GŁOS INNY Z SALI.

Za pozwoleniem! — Niechcę nikomu ubliżać —
Lecz dla czego Panowie chcą szlachtę poniżać?

GŁOSY.

Brawo! — Zuch! Tak to lubię. — Mówiący ma racją.
Każdy dobry! Tak, każdy. Precz z arystokracją.

GŁOS.

Ja Pana Mrozowicza podaję na wota.
Górą szlachta! — Tak górą!

XIĄŻE (ucieka zatykając uszy).

Co to za hołota!

(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT TRZECI.

W domu xięcia.

Salon wspaniale i kosztownie umeblowany. Marmurowe posągi. Świeczniki złote i kryształowe, drobne sprzęciki zbytkowne, na stołach tu i owdzie porozstawiane. Wśród widzów drzwi wchodowe. Na lewo do pokojów xiężny i xięcia. Na prawo do pokojów Matyldy. Drugie drzwi szklanne do ogrodu. Dzień.

Z lewéj strony wchodzi XIĘŻNA powolnym krokiem trzymając się za głowę. Naprzeciw niéj HRABINA ze drzwi wchodowych.

XIĘŻNA (słabym głosem).

Ah! ma bonne chère Comtesse.

HRABINA (witając ją).

Ma toute bonne Princesse.

Tyś chora moja droga?

XIĘŻNA (słaniając się).

Siadaj — chère Comtesse.

Tu — koło mnie — o! tu, tu. (mieści Hrabinę koło siebie.)

HRABINA (z troskliwością nachylając się).

Jakże twoje zdrowie —

Źle?

XIĘŻNA.

Ah! ah! I jak jeszcze. Niech ci za mnie powie
moja twarz. Patrz. Okropna. Całąm noc nie spała.
Dotąd mi w uszach szumi ta hałastra cała.

HRABINA (z złośliwym uśmiechem).

Jakież-bo towarzystwo zebrało się wczora,
w salonach poczciwego naszego majora.

XIĘŻNA.

Wstręt bierze na sam widok que la haute volée,
mieścić się z szubrawcami musi w jedném kole.
Spytajże ich o imie. Pstrymkiewicz, Szkatulski,
Brondziszewski, Szalejko, Kobza, Safandulski.
Takiemi nazwiskami zaraz cię obsypie
że ma parole — nie kłamię — aż ci w uszach skrzypie.

HRABINA.

I to większa część dzisiaj towarzystw się składa
z takich, że ci już imię samo zapowiada
jakiéj kto edukacyi, zasad, urodzenia,
jakie jego zajęcie, lub sposób myślenia.

XIĘŻNA.

Wierzaj mi ma chère — nic ci nie exageruję,
Nie raz gdy mi się któren z tych — tych..... prezentuje;
Lecz gdy rękę podaje, zawsze potém splunę.
Ma parole (śmieją się.)

HRABINA.

Ach to prawda!

XIĘŻNA.

Smutno żyć w tym stanie.

HRABINA.

Nadzwyczaj przykre z nimi dla nas obcowanie.
Chacun de ces bourgeois a quelque chose du repoussant.

XIĘŻNA.

Mais je crois bien comtesse — il sent mauvais — il sent.
Chacun de ces manans sent l'étable à quatre pas.
Son langage! c'est une horreur qu'on ne supporte pas.
Je vous jure, że to trzeba umierać z rozpaczy,
Jak ci zacznie dowodzić coś o swojéj klaczy,
o swoim owsie, stogach, o swojéj pszenicy,
o swoich chłopkach, bydle.....

HRABINA (z ironicznym uśmiechem).

Ach! mili rolnicy!

XIĘŻNA.

I gdybyś z nimi i nie wiem jak była ostrożna,
Nigdy tym demokratom dogodzić nie można.
Wszystko czynię by na ich dowcipne potwarze
nie narażać się wcale i co grzeczność każe;
co się z mém urodzeniem, z dobrym tonem godzi,
wypełniam — lecz napróżno — bo często ci młodzi
co to jakąś pretensję do rozumu mają,
że w Paryżu lub w Wiedniu garkuchnie zwiedzają,
jak tylko do wyższego salonu się wkręcą,
tak się nudzą, że ci co z tą szują bydlęcą
obcować muszą, ciągle jak na szpilkach siedzą,
bo każde słowo ważą, każdy wzrok twój śledzą.
Ils font une guerre ouverte, dès qu'ils son mal reçus,
Parcequ'ils sont éxigeants à n'en pouvoir plus.

HRABINA.

Biedny, poczciwy major, co téż mu się zdaje,
że zyska popularność gdy z szlachtą przestaje?
z takim jak ma majątkiem, chociaż bez znaczenia,
bez świetnéj kolligacyi, tytułów, imienia,

mógłby przecież dobrane towarzystwo zbierać,
i tak z parwenjuszami się nie poniewierać.
Wczora prócz Tężyńskiego nikogo nie było
comme il faut.

XIĘŻNA.

Moja duszko, co ci się nabiło
w głowę z tym twoim panem Tężyńskim.

HRABINA.

Zobaczysz:
Jeśli go lepiéj poznasz; zdanie przeinaczysz.

XIĘŻNA.

Wszakże on od pół roku dość często tu bywa.
Może nadto.....

HRABINA.

Dziś będzie.

XIĘŻNA (ironicznie).

Ach jakżem szczęśliwa.

HRABINA.

Nie ciesz się nazbyt wcześnie.

XIĘŻNA.

Cóż znowu?

HRABINA.

Tyś chora,
lękam się by.....

XIĘŻNA.

Straszysz mię.

HRABINA.

Z zeszłego wieczora
nie miła wyszła sprawa.

XIĘŻNA (z przestrachem).

Cóż to — ach mój Boże!

HRABINA.

Chcę ci wrażeń oszczędzić; zaszkodzić ci może.

XIĘŻNA.

Mów prędko, mów przez litość, mów na miłość Boga.

HRABINA.

Nie trwoż się ma bonne amie.

XIĘŻNA (gwałtownie ciśnie ją za rękę).

Ależ moja droga!

HRABINA.

Późniéj ci powiem duszko, nic to tak ważnego.
Uspokój się. Bóg łaskaw. Wierz mi, nie ma czego,
tak bardzo tém się dręczyć, wiele jeszcze liczę
na jego zacność, rozum.

XIĘŻNA (z niecierpliwością).

Jakieś tajemnicze
męczą mię niespokoje, lecz o kimże mowa?
Zmiłuj się, mów Hrabino.

HRABINA.

Nie powiem ni słowa,
Pokąd ma chère zupełnie się nie uspokoisz.
Nie wiedzieć czego drzysz tak i czego się boisz.
Mówię ci — nic ważnego; a w twéj wyobraźni
strach jakiś się przedstawia, wierz mojéj przyjaźni,
ja wszystkiemu zaradzę, jużem zaradziła.
Czego drzysz tak! (po chwili) Możebyś się czego napiła?
Une tasse de fleur d'oranger lub kroplę eteru.

XIĘŻNA (opuszcza ręce na fotelu).

Ah!

HRABINA.

Ma bonne.

XIĘŻNA.

Ah! Ah!

HRABINA.

Co ci?

XIĘŻNA.

eteru! eteru!

HRABINA (dobywa flaszeczkę którą daje wąchać Xiężnie).

C'est restaurant — tak — jeszcze — rassure toi ma chère.

(krząta się troskliwie koło Xiężny.)

Ja wszystkiemu zaradzę — encore quelques gouttes d'ethère.
Ale radzić potrzeba i spiesznie — o trzeba!
A koniec będzie dobry przy pomocy Nieba.

(po chwili.)

I twojéj droga Xiężno.

XIĘŻNA (przychodząc nieco do siebie.)

Cóż ja tutaj mogę?

HRABINA.

Z Tężyńskim sprawa.

XIĘŻNA.

Ten znów zachodzi mi w drogę.

HRABINA.

Wiesz że kocha Matyldę.

XIĘŻNA.

Wiem — Wiem, i dla tego
Zabronię już go wpuszczać na próg domu mego.

HRABINA.

Może już raz ostatni dziś tutaj przybędzie.

XIĘŻNA.

Tem lepiéj że ostatni — niechaj bywa wszędzie;
Niech się kocha w kim zechce, byle nam dał pokój;
Słabnę gdy o nim wspomnę.

HRABINA.

Ależ się uspokój,
Edward — jak na zacnego przystało człowieka
Swych uczuć do Matyldy odtąd się wyrzeka.
Kocha ją, czci i wielbi lecz gdy honor wzywa
Poświęca swoją miłość a ręka życzliwa
co nie mogła dać szczęścia z przeznaczeń koleji
téj którą tak ubóstwia — gdy nie ma nadzieji
byście mu dopomogli w jego życzeń kresie,
dzisiaj w przyjacioł swoich obronę się wzniesie.

XIĘŻNA (uspokojona nieco).

Więc z rozpaczy do wojska? — Szczęśliwa mu droga.
(śmieje się.)
To zwykły zakochanych koniec.

HRABINA.

Ach! dla Boga!
Nie ciesz się wcześnie.

XIĘŻNA.

I cóż? Jeszcze będzie próba
przebłagać nas, Matyldę wzruszyć. Moja luba
to wszystko zniosę mężnie, tego się nie boję.
Trzaż mi było powiedzieć. Próżne niepokoje.

HRABINA (z wyrachowaniem).

Nie. Mrozowicz chce zabić — zabić — twego męża.
Edward mu sekunduje.

(Xiężna upada prawie bezwładnie na fotel. — Hrabina ją trzeźwi.

XIĘŻNA (po długiém milczeniu).

Zabić mego męża?!....

HRABINA.

Uspokój się. — O Boże! widzisz ja mówiłam
Tak nie przygotowana. Lecz ja zdradziłam.

XIĘŻNA.

Zabić!? — zabić!? ach! zbójca — ach ja oszaleję.

HRABINA (udając czułość).

Moja ty biedna droga!

XIĘŻNA.

Ratujcie! Ja mdleję.

HRABINA (trzeźwiąc).

Zażyj trochę eteru. Bóg łaskaw. Trza radzić
aby od tych zamiarów zbójcę odprowadzić.

XIĘŻNA.

Ach! zabić mego męża — mego męża zabić.

HRABINA (wznosząc ręce do góry).

Bóg nad nami. Nam trzeba Mrozowicza zwabić;
skoro tylko przyjedzie, damy sobie rady.
Nie będzie tak zuchwałym. — Wejdziemy w układy.
Jeszcze Xięcia przeprosi. — Z Edwardem mówiłam.
On zrobi co ja zechcę. — Słowem zaradziłam
już wszystkiemu. Więc teraz uspokój się, droga.
Wszystko się dobrze złoży za pomocą Boga.

SŁUŻĄCY (wchodzi).

Pan Tężyński przyjechał.

XIĘŻNA.

Ach moja kochana,
Ja go widzieć nie mogę. (do służącego). Proś Xięcia — proś Pana.

Albo.... stój.... może lepiéj — niechaj nie wchodzi.....
powiedz — że chory.

HRABINA.

Ma chère! Wszak to nie uchodzi.

XIĘŻNA (do służącego).

Powiedz że nie ma w domu — chory — wszyscy chorzy.

HRABINA.

M'amie! To ich rozdrażnić może tylko gorzéj.

(Do służącego.)

Proś Pana. Tylko prędko. (Służący odchodzi.).

XIĘŻNA.

Ach, ach! Cóż ja zrobię?

HRABINA.

Wyjdź — wyjdź. Ja sama radę potrafię dać sobie.
Bóg nad nami. Wiesz że masz przyjaciółkę ze mnie
Cały zamiar ich spełznie na niczém, daremnie.

Xiężna odchodzi, w drzwiach spotyka się z Xięciem.

* * *
* *
*

XIĄŻE.

Co to jest?

XIĘŻNA.

Ach Auguście!

XIĄŻE.

Co się tobie stało?

XIĘŻNA.

Ach! nie idź tam.

HRABINA.

Ja Xięciu opowiem rzecz całą.

XIĘŻNA (odchodząc do Xięcia).

Uciekaj lub go wypchnąć każ.

XIĄŻE.

Lecz cóż to znaczy?
Niech mi droga Hrabina objaśnić to raczy. (bierze ją za ręce.)

HRABINA (żywo).

Teraz nie pora jeszcze. Właśnie tu przybywa
Tężyński en qualité — to późniéj — szczęśliwa
okoliczność zdarzyła, iż sprzyjając szczerze,
mogę was przecie ostrzedz, jak radzić w téj mierze,
tylko proszę ostrożnie.

XIĄŻE.

Mais — mais sur mon honneur.
Je ne comprends rien.

HRABINA.

Suffit. Il s'agit de votre bonheur.

XIĄŻE.

A! to pewno szaleniec ten, co już nas męczy
od półro...

(Hrabina kiwa głową na znak przeczenia.)

XIĄŻE.

Niechże już mię Hrabina nie dręczy.

HRABINA.

Tężyński dla Matyldy uczuć się swych zrzeka.
Dziś ma tylko śmierć w myśli.

XIĄŻE.

A więc czegoż czeka?
Niech sobie w łeb wypali — niema płakać komu.
Niech się gdy chce powiesi, byle nie w mym domu.
Bo to kłopot — komissja — hałas niepotrzebny;
a jeśli ma ten zamiar — to zamiar chwalebny.

HRABINA (złośliwie patrząc na Xięcia).

Na ten raz drogi Xiąże zamiary ma inne.
Dla przyjaźni poświęcił uczucia niewinne.
Jemu twoja śmierć w głowie (patrzy mu bystro w oczy).

XIĄŻE (przerażony).

Co?

HRABINA (po chwili milczenia).

Twe życie Xiąże
W jego ręku.

XIĄŻE.

Z tym Panem wszak nic mię nie wiąże.
Co to jest? Ledwo znam go, czasami tu bywa.
Lecz odtąd żadnych nie chcę z nim....

HRABINA (łagodnie).

Przyjaźń prawdziwa
znajdzie środki zaradzić złemu — ja oddawna
znam go — ma dla mnie względy.

XIĄŻE.

A! to rzecz zabawna —

napadać w moim domu, jak rozbójnik jaki.
Ja go każę wyrzucić, wypchnąć —

HRABINA.

Środek taki
od zguby pewnéj ciebie ochronić nie zdoła;
I większą tylko zemstę na dom wasz wywoła.
Znalazłam lepszy sposób: dziś mówiłam o tém
z Edwardem.

XIĄŻE.

Więc cóż robić?

HRABINA.

Opowiem ci potém.

XIĄŻE.

Lecz za cóż moje życie w ręku tego Pana?

HRABINA.

A! to długa historja — sprawa opłakana.
Nie mam czasu ci mówić — on już tu — dość wiedzieć,
że ma być sekundantem.

XIĄŻE.

Będzie w kozie siedzieć.
Bo to jak awantura, tak na gładkiéj drodze.
Co to jest? skądże? za co? Otóż popuść wodze
zbytniéj popularności z głupią szlachtą naszą,
Zaraz-ci chcą brat za brat.

HRABINA.

Tém się nie zastraszą,
Jeśli ich zechcesz przed sąd prawny powoływać.

XIĄŻE (odważnie).

Zobaczymy. Oho! ho!

HRABINA.

To trudno zgadywać.

Ale lepiéj łagodnie — znasz szlachecką zgraję.
To mrowisko — gdy ruszysz — wnet tłum ich powstaje.

(po chwili.)

Ot głupia szlachta nasza — a w całéj téj sprawie,
zdaj się we wszystkiém na mnie — was samych zostawię.

(chce odchodzić, potém zawraca się.)

Tylko wierz mi — z tą szlachtą trza czasem być grzecznie.
Jeśli to nas nie godne — przynajmniéj bezpiecznie.

(Xiąże przechadza się chwilę zamyślony gestykulując, potém siada w fotelu.)

HRABINA (we drzwiach).

Trza mu pochlebiać.

XIĄŻE.

No! no! Znam tę zgraję brudną.
Pochlebstwem lub grzecznością kupić ich nie trudno.

* * *
* *
*

Wchodzi TĘŻYŃSKI. Xiąże zrywa się z wymuszoną grzecznością.

EDWARD (wesoło do Xięcia).

Dobrydzień Mości Xiąże. Śród zatrudnień tylu
Ledwie mam czasu chwilkę. Byłem w Złotomilu.
Nocowałem u tego drogiego Prezesa.
Co za miły staruszek — do prawdy noblessa
Tak zacnym urzędnikiem poszczycić się może.
Co to za słodki humor — jam trudny w wyborze
towarzystwa — lecz z nim mnie słodko chwile płyną.
Jaka łatwość w rozmowie — a z każdą godziną.

Można się coś dowiedzieć o stosunkach licznych,
które zabrał w podróżach swoich zagranicznych.
To człowiek postępowy, bardzo oświecony.
Otóż — cóż chciałem mówić? a! byłem proszony
przez hrabinę Amelję, na wieczorek mały;
tańcująca herbata, pomysł doskonały.
Wybornie się bawiono, choć w nielicznem gronie.
Hrabina umie nadać ton w swoim salonie.
Dobrane towarzystwo tylko tam się zbiera,
które zdobią dystynkcya światowa, maniera,
I ten ton, w którym człowiek aż lżejszym się czuje.
A Xiąże czemu nie był?

XIĄŻE.

Hm! Ja nie tańcuję.

EDWARD.

Właśnie tam od Majora lecę jak szalony;
przybywam tańczę, w końcu gdy byłem znużony
pojechałem z Prezesem.

XIĄŻE.

Cóż Pana sprowadza?.....

EDWARD.

Mrozowicz mię tu przysłał?

XIĄŻE.

Czyliż jego władza
nad tobą się rozciąga łaskawy sąsiedzie?
Przysłał, hm! przysłał, jakto?

EDWARD (zawsze prędko).

Jestem w ciężkiéj biedzie
właśnie od tego burdy i awanturnika.....

XIĄŻE.

Mniemałem iż Pan takich towarzystw unika.

EDWARD.

Ile mogę — lecz honor — stosunki przyjaźni —
Trudno mi się wymówić.

XIĄŻE (półgłosem).

Hm! Jesteś jak w łaźni.

EDWARD.

Choć dla Xięcia z czcią jestem i uszanowaniem,
Lecz mniemam, że się wszystko skończy pojednaniem.

XIĄŻE.

Pojednaniem? — O jakiém pojednaniu prawisz? —
(udając wesołość wstaje często, to znowu siada.)
Zawsze żartować lubisz, lecz tém mnie nie bawisz.
I z kimże?

EDWARD.

Z Mrozowiczem.

XIĄŻE.

Masz mię za warjata?
Xiąże August z tym szołdrą nigdy się nie zbrata.
(groźnie.)
Nie znam go, żadnych nie mam stosunków, a przeto
nie mógłem mieć żadnego zajścia z tym szlachetą.
To jakiś bałaguła, parwenjusz, hulaka,
Awanturnik, plebejusz, urwisz, zawadjaka.

EDWARD (urażony wstaje).

Mości Xiąże.

XIĄŻE (powstając do niego łagodnym głosem).

Siadajże. — Wiesz mocno, się dziwię,
że sławy przodków twoich nie cenisz.

EDWARD (przerywając udobruchany).

Prawdziwie.....

Mości Xiąże.....

XIĄŻE.

Pozwólże — ty co we krwi swojéj.....

EDWARD.

Tém się nie szczycę wcale.

XIĄŻE.

..... Ty, co we krwi swojéj
masz zasługi przodków, u dam jesteś w modzie,
przyjacioł masz bez miary, liczysz w rodowodzie
kasztelanów, starostów, biskupów, hetmanów,
że się téż dobrowolnie zniżasz do *tych* panów.
Co za przyjaźń? Mrozowicz hm! Mrozowicz z żoną.
Czyż nie możesz znajomych wybrać sobie grono,
dystyngowane, słowem arystokratyczne.
Wszak masz tylu przyjacioł i stosunki liczne.
Wierz mi, jam twój przyjaciel i radzę ci szczerze,
nie wdawaj się z szubrawstwem, to co glans odbierze.
tę ogładę wyższości, ten polor światowy.
Po co ci szlachetczyzna ta wlazła do głowy.

EDWARD (coraz więcéj prostując się w miarę, jak Xiąże mówi.)

Tak.... tak... zapewne widzisz Xiąże... tak... tak... ale.
To prawda — mój rodowod — wiem to doskonale.
Tylu przodków — i jacy!... Jakaż na to rada?
Trzeba czasem wleść w błoto. — Człowiek często wpada
mimowoli w tę śmieszną hałajstrę — cóż robić?!
Muszę żyć z nimi. — Trudno cały świat przerobić!
Ten krewny, tamten sąsiad — to kolega szkolny.
A wybór między ludźmi przykry i mozolny.

Więc ja nie chcąc nikogo na siebie obrażać,
by i panom dogodzić i szlachty nie zrażać,
gdy wejdę w towarzystwa krąg, tak dziwnie sprzeczny,
(pokazując na siebie,)
z równymi jestem dobrze, a ze szlachtą grzeczny.
(Gdy to mówi Tężyński, Xiąże odwraca się komicznie, kiwa głową i ironicznie mruga.)

XIĄŻE.

No! i powiedz do czego to cię doprowadzi?
że cię zgniotą, (pokazuje na migach uściski) obślinią, że ci będą radzi.
Za to (pokazując koniec palca) tyle nie warto tracić swéj powagi.
Przepraszam cię, lecz to brak moralnéj odwagi.
Ja ci mówię, tak było i będzie na świecie.
Trzebaż im raz na zawsze dać to poznać przecie,
że co pan z panów, to nie prosty jakiś szlaga.
Podstawą towarzystwa jest nasza powaga.

EDWARD.

To prawda Mości Xiąże — to prawda, sam czuję,
że wcale niepotrzebnie wlazłem w tę tam szuję.
Ale — czasem — doprawdy — wykręcić się trudno,
gdy raz się wdasz z tą szlachtą wrzaskliwą i nudną.
Dziś naprzykład zaledwiem wypoczął znużony,
powróciwszy z wieczorku, gdzie byłem proszony
przez Hrabinę Amelję, zajeżdża ktoś do mnie,
wpada do méj sypialni, gada nieprzytomnie.
Zaledwie mię przywitał, jakiś zły zmieszany.
Sam nie wiem...

XIĄŻE.

Któż?

EDWARD.

Mrozowicz.

XIĄŻE (odwraca się z niechęcią).

Zawsze roztrzepany.
On ma zajączka w głowie.

EDWARD.

Tak — kochany Xiąże.
Lecz cóż? dałem mu słowo, i słowo mię wiąże.
Nie mógłem mu odmówić — bo tak się wyźwierzył,
że gdybym się wykręcał, dotądbym już nie żył.
A strzela! — niech go!...

XIĄŻE (surowo).

Lecz cóż to mnie ma obchodzić?

EDWARD.

E! jakoś się to wszystko da łatwo pogodzić.
Choć straszliwie zażarty — strasznie obrażony —
Na Xięcia.

XIĄŻE.

Co? co? na mnie? szalony! — szalony!
(z dumą.) Panie Tężyński, dość już tych żartów.

EDWARD (poważnie).

Nie, Xiążę
To nie żart.

XIĄŻE.

Dość już. — Nic mię z tym panem nie wiąże.
To już nadto.

EDWARD (surowo).

Nie Panie — nie nadto — i proszę
z większą mówić uwagą, bo obelg nie znoszę.
Obraza Mrozowicza jest moją zarazem,
którą zmyć potrafimy kulą lub żelazem.

Mniemałem, iż Pan zechcesz dziecinną tę sprawę
zakończyć pojednaniem — lecz widzę, że krwawe
zatargi stąd wyrosną. Przywożę wezwanie.

XIĄŻE.

Pojedynek?

EDWARD.

Przykro mi niewypowiedzianie.
Lecz muszę obowiązek ten na mnie włożony
Spełnić święcie — a teraz racz Pan ze swéj strony
Wskazać mi sekundanta. — Honorowa sprawa
nie cierpi żadnéj zwłoki.

XIĄŻE (odważnie).

Wszak krajowe prawa
Wszelkich burd, pojedynków zabraniają ściśle.
Dla tego z Mrozowiczem strzelać się nie myślę.

(przechadza się poruszony.)

To się moim zasadom sprzeciwia i zdaniu.
Ja nigdy wbrew nie idę memu przekonaniu.

(po chwili.)

Nie chybiłem mu w niczém i pojąć nie mogę,
Co za śmiałość szlachcica zachodzić mi w drogę?
Ostrzegam żem zawzięty — i będąc wezwanym,
Dam sobię radę z tym — z tym łotrem opętanym.
Oho — ho — ho! i ja sobie w kaszę dmuchać nie dam.
Stracę trzykroć, czterykroć, — jedną wioskę sprzedam,
Ale śmiałka nauczę — o, nauczyć muszę.
Ja mu proces wytoczę — ja go zdławię, zduszę,
Przed sądem całą sprawę zbójecką wyłuszczę,
Ja go… ja go… ja nie wiem… z torbami go puszczę.
Nauczę go — jak trzeba szanować zasługi —
mą godność — i mój tytuł — pewno po nim drugi
nie ośmieli się więcéj.

EDWARD.

Zapał twój zbyteczny,
Mości Xiąże. To dla mnie powód dostateczny,
bym Mrozowicza groźne zamiary oddalił,
i w téj sprawie przynajmniéj mój honor ocalił.
Więc już wszystko skończone — poprzestaję na tém.
Żegnam Pana — spełniłem mą missję.

XIĄŻE (coraz śmieléj.)

A zatém
Niechże ów śmiałek ma się dobrze na baczności.
Moim prawnym obrońcą sąd sprawiedliwości.
Ja z méj strony zawezwę policyjską władzę,
I Pana Mrozowicza do ciupy zasadzę.

(odchodzi.)

EDWARD (za odchodzącym xięciem z wyrazem pogardy).

Nie bój się teraz Xiąże kuli ni żelaza.
Taką mową się zmywa najkrwawsza obraza.

(chce odejść.)

* * *
* *
*

HRABINA która dotąd podsłuchiwała podedrzwiami wpada i zatrzymuje TĘŻYŃSKIEGO.

HRABINA (do Edwarda).

O, szalony! dziwaku! Jeszczeż z twojéj głowy
nie wywietrzał ów jakiś honor romansowy?
Jeszcześ się nie otrząsł z przesądu głupiego,
wszedłszy do towarzystwa dystyngowanego?!
Ja cię bronię, ja strzegę, jak brata, jak syna,
ja cię pragnę oświecić co dzień, co godzina.
A ty mi w każdéj chwili jako jeż kolcami,
wyleść musisz z gminnemi wyobrażeniami;
a ty mi z każdym krokiem, co tylko ułożę,
zawsze zniszczysz, w tym swoim szlacheckim ferworze.
To choroba chroniczna — ta, ta wasza pycha,
dla któréj żyć chce każdy choć z głodu usycha.

EDWARD.

Hrabino! zawsze rad twych słuchałem i nieraz
ckliwo mi od nich było, lecz pozwól że teraz,
w téj sprawie za mém własném pójdę przekonaniem.
Odkąd wszedłem w dom Xięcia za twojém staraniem,
prawda, że się wesoło bawię, ale czasem
i życie mi obmierznie z tym waszym chałasem.
Niby tu miło, gwarno, lecz jak mi się zdaje,
sam się łudzę i czegoś, czegoś mi nie staje.
Dziś zaś méj cierpliwości dopełniłem miary.
Nie żądaj więc tak wielkiéj odemnie ofiary.
Chciałaś bym Xięcia wezwał. Spełniłem twą wolę,
i niską i haniebną odegrałem rolę.
Mniemałem z razu, że się Xięcia zmiękczyć uda;
ze strachem czy wdzięcznością. — Są na świecie cuda.
Słyszałaś co powiedział. —

HRABINA.

Ha! boś zagorzały. —

Odtąd na siebię biorę interess ten cały.

EDWARD.

E! dość już tej komedji. Za drogo kosztuje;
gdy mi sławę plugawi, gdy mi spokój truje.
Żegnam was — i na zawsze.

HRABINA (odwraca się w największéj złości.)

A! a! Ledwie żyję.

Idź więc znów pieczeniarzyć. To hańbę twą zmyje.
Idź w spokoju — jeżeli spokojem zwać można,
troskę o chléb powszedni. Jakżem nieostrożna!
Ja ci święcie wierzyłam, że przez wdzięczność samą,
za tyle łask z méj strony, z taką świetną damą,
jak Xiężniczka Matylda, zechcesz się połączyć,
i raz już ten tułaczy żywot swój zakończyć.
Odrzucasz własne szczęście. Nie zmuszam. Twéj woli
sprzeciwiać się nie mogę, choć mocno mię boli
twój postępek; lecz pomnij, o pomnij Edwardzie,
że odtąd żyć masz w nędzy, w ucisku, w pogardzie,
z pracy rąk własnych. — Moja ustaje opieka,
kiedy jéj dobrowolnie twój upor się zrzeka.

EDWARD (zamyśla się).

Cóż mam począć Hrabino?

HRABINA.

Pracuj. Idź pracować.

Idź służyć. — Dość już pańskich podwojów pilnować.

(Tężyński wzdryga się.)

Wszak to wasz mądry kodex tę maxymę głosi,
że praca rąk nikomu krzywdy nie przynosi.
A więc szczęśliwa droga! —

EDWARD (w kłopocie.)

Ha! to przeznaczenie!
Choćbym się chciał poprawić, choć gryzie sumienie,
te pańskie progi wasze mają ponęt tyle,
że oprzeć się im mężnie nie czuję się w sile.

HRABINA.

Wybieraj. Tu — Matyldy posag, świetne związki.
Tam — żmudna praca; wszelkie bowiem obowiązki
moje od dziś ustają. Zapomnij, żeś kiedy
znał mię, widział. — Wśród nędzy, wśród największéj biedy
nie myśl o mnie. Litości — o! nie znajdziesz we mnie.

EDWARD (zamyślony.)

Mamże szczęście niepewne zdobywać nikczemnie?

HRABINA.

Niepewne? — A jeżeli w mém ręku twe szczęście? —
A jeśli mych zabiegów wieńcem jéj zamęście —
więc w środkach nie przebierasz? — (Z dziką ironją.)
To wasze morały!
To więc waszéj mądrości systemat wspaniały!!...
Marzycielu — Szaleńcze!... No! dość już tych bredni.
Zostaw mnie resztę.

EDWARD.

Pani! Wiem, że nie pośledni
masz talent rzecz prowadzić, choć tu skok zbyt trudny;
lecz spraw, bym z téj nie wyszedł sprawy całkiem brudny.

HRABINA.

Teraz wyjdź do ogrodu. (Tężyński odchodzi drzwiami bocznemi.)
(Hrabina dzwoni. — Wchodzi służący.)
Xięcia prosić. (Służący odchodzi.)
(za odchodzącym Edwardem.)
Jeszcze mu honor w głowie — głupi!...

(Wchodzi Xiąże.)

Mości Xiąże,
Mon chère Prince. Ta sprawa plącze się i wiąże
w nierozgmatwany węzeł.

XIĄŻE.

No! cóż tam nowego?

HRABINA.

Trzeba radzić i szybko. Broń Boże — co złego
z téj afery wyjść może. Tężyński powiada,
że twój przed całym światem postępek rozgada,
że cię osławi, splami.

XIĄŻE.

Tyle tylko? — Szkoda
i mówić o tém — cha — cha!

HRABINA.

Ręki ci nie poda.

XIĄŻE.

Tém lepiéj. Dla mnie będzie korzyść oczywista,
gdy całkiém z zgrają zerwę; — będzie ręka czysta;
bo mię brucze ta szlachta. —

HRABINA.

To nie koniec na tém.
Będą cię szykanować publicznie.

XIĄŻE.

A zatém
nie pokażę się nigdzie i żaden mi w drogę
nie będzie mógł wleźć. — Bez nich ja obejść się mogę.
oni bezemnie — nigdy. Powaga, znaczenie,
mój majątek, to magnes dla szołdry. Nie cenię
ich towarzystw; a dla nich — moją bronią wzgarda.

HRABINA.

To go nie upokorzy, bo to dusza harda.
Jego zamiary straszne, a wszystko co powie,
może dojrzeć w téj pustéj, w téj szalonéj głowie.
Wiesz co teraz chce zrobić? On — on — ma papiery,
które cię mogą zgubić.

XIĄŻE.

Co?

HRABINA.

Bądź ze mną szczery.
Majątek jego ojca.....

XIĄŻE (okropnie zmieszany).

Co? jaki?

HRABINA (zimno).

Majątek
jego ojca.... on o tém wie....

XIĄŻE (prawie nieprzytomnie).

Cóż?

HRABINA.

To początek
Twéj powagi — znaczenia....

XIĄŻE.

Jakto! Co to znaczy?

HRABINA (pokazuje Xięciu dokument, na który Xiąże patrzy z przerażeniem).

Ten papier lepiéj Xięciu wszystko wytłómaczy.

XIĄŻE (z wściekłością).

Zdradziłaś mię poczwaro!

HRABINA.

Twoja tajemnica
jest moją, więc milczałam. Lecz dziś okolica
cała z ust Tężyńskiego o wszystkiém się dowie.

XIĄŻE (uradowany).

Z ust Tężyńskiego? Brawo! Brawo. Cóż on powie?

HRABINA.

Nie ciesz się Mości Xiążę. Edward nie wie o tém,
że ród jego kupiony jego własném złotem.
Lecz widział ten testament i wie żeś ty panem
majątku wydartego ojcu.....

XIĄŻE.

Tyś szatanem,
nie kobietą, — poczwaro! — więc wszystko wyjawię.....
Powiem żeś mi spólnikiem była w całéj sprawie.

HRABINA.

Cha — cha — cha! Uspokój się, cóż mam do stracenia,
majątku mi nie wydrzesz, a hańbę imienia
zmył już stan mój i tytuł, ty zostaniesz niczém.
Słyszysz? niczém, purpury twéj blaskiem zwodniczym.
Dostojeństwem xiążęcém, ni córki, ni żony,
ni siebie nie nakarmisz. I te milljony
wrócą zkąd przyszły, a ten szubrawiec, szlacheta,
ten..... wiesz jak go nazywasz.....

XIĄŻE.

Przeklęta kobieta.
Więc czegoż chcesz? czegoż chcesz?

HRABINA.

Ha! ha! mon cher ami —
que tu ce drôle, doprawdy! z twojemi gestami.

Soyez donc raisonnable. Faisons ce qu'il y-a à faire.
Il est temps d'arranger de notre mieux nos affaires.
Wiesz że Edward Matyldę kocha, więc ją zmusić....

XIĄŻE.

Matyldę! Boże! co ty! Matyldę przymusić!...
Za Edwarda — Hrabino nie, o nie Hrabino!
Ty tego nie chcesz — słuchaj — mą córkę jedyną
za człowieka bez żadnych zasług, bez imienia,
bez majątku, bez sławy? Tego poniżenia
nie przeżyję — me dziecię, me najdroższe dziecię
oddać, by się wśród szlachty szargało po świecie!

(po chwili milczenia.)

Nie Pani — nadtom dumny — nadto siebie cenię.
Wszystko stracę, lecz moich przekonań nie zmienię.

HRABINA (cierpliwie).

Wszystko stracisz? cha! cha! cha! jak z gorączki plecie.
A w nędzy się nie zszarga twe kochane dziecię? —
Czyś nie został, mój Xiąże, raptem demokratą?

(po chwili.)

Wolisz widzieć Matyldę w nędzy, czy bogatą?

XIĄŻE (przechadza się wzdłuż sali.)

A! piekło w mojéj pierśi. Rób co chcesz.

HRABINA.

Więc zgoda?

XIĄŻE.

Jakiż środek przymusu Hrabina mi poda?

HRABINA.

O, to do mnie należy. Cette enfant délicieuse.

Ne se fera pas longtemps prier; il la rendra heureuse.
Teraz zostaw mię samą. —

Xiąże odchodzi. Hrabina zamknąwszy drzwi za odchodzącym Xięciem, staje na progu drzwi wiodących do ogrodu i woła:

* * *
* *
*

HRABINA.

Edwardzie! (wchodzi Tężyński.)
Mój drogi!
Wiesz, że chcę twego szczęścia?

EDWARD.

Ach, na wszystkie Bogi
zaklinam ci się, wierzę iż chcesz szczęścia mego;
tylko mnie puśćcie już stąd — puśćcie mnie żywego.
Zagrzązłem, niech raz wybrnę, pozwól mi Hrabino.
To dla mnie będzie szczęściem, rozkoszą jedyną.
Czegoś mi straszno, smutno. Przeczucie złowieszcze
przejmuje moją duszę. — Nie upadłem jeszcze
tak nisko, a wciąż czegoś lękam się i wstydzę.
Własny cień mię przestrasza.

HRABINA.

Mój drogi — jak widzę,
szczerze kochasz Matyldę. Szaleństwo miłości
doszło wyższego kresu.

EDWARD.

Hrabino! Z litości
nie wspominaj mi o niéj. Ja zapomnieć muszę
o mém szczęściu i o niéj. Jutro w świat wyruszę —
i miłość znajdę wszędzie.

HRABINA.

Trzpiocie nałogowy!
Kiedyż już puste myśli wylecą z téj głowy?
A jeżeli Matylda kocha cię na wzajem?

EDWARD (z westchnieniem)

Och! gdybym mógł mieć pewność!... Byłoby to rajem.

HRABINA.

A jeżeli ci nawet za mojem staraniem
gotowa oddać rękę.

EDWARD.

Za twojem staraniem?
Matylda? — Nie Hrabino. Nie! To być nie może.

HRABINA.

Czémżebyś mi odpłacił? czem?

EDWARD (z zapałem).

Ja? o mój Boże!
Wszystko oddam — świat cały — co mam, czego nie mam.

HRABINA (tajemniczo).

Słuchaj. Wiesz — co przyrzekam, to święcie dotrzymam.
Wiesz — że mam wielkie długi. Na wsi siedzieć muszę.
A wieś serce mi ściska, krępuje mi duszę.
Słuchaj więc mój Edwardzie... posłuchaj cierpliwie.
Ty z posagiem Matyldy możesz żyć szczęśliwie,
Gdybyś tylko połowę posiadł. Dwa milljony
majątek dostateczny dla ciebie i żony.
Drugie dwa mnie zapiszesz.

EDWARD (rzuca się).

Ach, Hrabino droga!
wszak majątek Matyldy nie jest mym, dla Boga.

HRABINA.

Ona ci wszystko odda. Rodziców jéj wola
jest jeszcze na przeszkodzie. Lecz to moja rola
zbliżyć was i zakończyć pomyślnie rzecz całą.
A za moje starania tę nagrodę małą
żądam Edwardzie. Cóż, zgoda? Mam prawo
żądać tego od ciebie. Wszak wiesz — nieraz krwawo,
pracowałam, by dochód z szczątków méj fortuny
tobie przesłać. (płacze) Przysięgłam, przysięgłam u truny
twego ojca, któremu winnam wszystko w świecie,
że odtąd w mą opiekę wezmę jego dziecię.
Przygarnęłam sierotę. Tyś dla mnie był synem.
Jam wszystko poświęciła..... (płacze.)

EDWARD (rozczulony).

Pani! każdym czynem
chciałbym ci moję wdzięczność okazać. W twéj mocy
moje szczęście; powiedz mi, jakiéj chcesz pomocy,
wszystko zrobię co każesz, majątku zaś nie mam.

HRABINA.

Lecz mieć będziesz, więc zapisz.

EDWARD (z niecierpliwością).

Daléj nie wytrzymam.
Jakiż? — Gdzie?

HRABINA (dostaje papier z woreczka).

Oto papier. Ja nie żądam wiele.
Zapisz, że jakikolwiek majątek w podziele
dostanie się dla Ciebie, ty — na korzyść moją
odstępujesz połowę. —

EDWARD (skwapliwie).

Z chęcią.

HRABINA (odpina pieczęć od zegarka).

Daj mi twoją
pieczęć — i podpisz.

(EDWARD podpisuje).

HRABINA (zagląda w papier).

Tu — tak. (całuje go w czoło.)
Mój drogi, kochany.
Wszak wiesz, że mój majątek tobie zapisany.
Po mojéj śmierci wszystko twoje. (chowa zapis do woreczka.)
Teraz pora
Pomówić z Xiężną. Pójdę po nią. Biedna — chora.
Tém lepiéj. Łatwiéj zmiękczyć. Teraz idź już sobie.
A co tu przy pomocy Boga dzisiaj zrobię,
doniosę ci. Bądź wesół, miéj w Bogu nadzieję.
Matylda — twoja. (Idzie do pokojów Xiężny.)

EDWARD (odchodząc).

Boże! Co się ze mną dzieje?!.......

(Zasłona spada).

KONIEC AKTU TRZECIEGO.

AKT CZWARTY.

W domu Xięcia. Ten sam salon.

HRABINA. Wchodzi XIĘŻNA i MATYLDA, prowadząc matkę.

HRABINA (do Xiężny).

Nie trwoż się, moja droga..... Pan Bóg cios dotkliwy
przygotował dla ciebie.... Twój mąż nieszczęśliwy.....

MATYLDA.

O Nieba!

HRABINA.

Potrzeba się zgodzić z wolą Boga...
Ratuj męża.

MATYLDA (z boleścią).

A!

HRABINA (do Matyldy).

Ratuj ojca, moja droga.

XIĘŻNA.

Mów — prędko.

HRABINA.

Nic nie może powstrzymać mordercę....
Zbierz siły i posłuchaj. — Boleśnie twe serce
rozranię.... słowy zbójców.

XIĘŻNA (padając na krzesło).

Miéj litość nademną.

Mów — prędko.

MATYLDA (z przerażeniem okropnem).

Mam!..... Boże!... co się dzieje ze mną.

XIĘŻNA.

Mów — niech już me cierpienia prędzéj się zakończą.

HRABINA.

Sama nie wiem.... Ach!... Xiężno... myśli mi się plączą...
Jeszcze jest środek trudny... trudny... lecz jedyny.
W twojém ręku (obraca się do Matyldy),
w jéj ręku... w ręku téj dziewczyny,
chère enfant (całuje ją). Możesz zbawić ojca. Śmierć lub życie,
w twojém ręku, Matyldo. — Chcą jawnie lub skrycie
zamordować....

MATYLDA.

O Boże! co to wszystko znaczy?

XIĘŻNA.

Ha! wściekła zgraja łotrów!... ja umrę z rozpaczy!...
Uciekajmy.

HRABINA.

I dokąd? Napadną — dogonią.
Niewinność i pokora tylko naszą bronią.
To ich rozbroji.

XIĘŻNA.

Powiedz — jakaż na to rada?
Może złotem się skusi ta zbójców gromada?

MATYLDA.

O czém to mowa? Mamo!... Mamo!... (załamuje ręce.)
Co za męka!

HRABINA.

Wybierajcie. Śmierć Xięcia lub Matyldy ręka.

MATYLDA.

Co? — Mój Boże! co słyszę!... czym we śnie?...

XIĘŻNA (dumnie).

Mnie grożą,

Mnie straszyć chcą ci zbójcy!? — Tém mnie nie zatrwożą.

Matylda!... moja córka!... i szlachcica żoną?...

(powstając z energją.)

Wolę śmierć mego męża — niż córkę zhańbioną.

(Matylda załamuje ręce z podziwieniem.)

HRABINA.

Xiężno! — Matylda kocha Edwarda.

MATYLDA.

Co Pani?

Ach! niech mi Pani serca boleśniéj nie rani.

HRABINA (zimno).

Tak, kochasz, wiem, przedemną nie ma nic skrytego.

MATYLDA.

Nie cierpię go.

HRABINA.

Tém gorzéj, a wyjdziesz za niego.

MATYLDA.

Ja?

HRABINA.

Ty, ty.

XIĘŻNA.

Co ty mówisz?

HRABINA.

Ja tak chcę.

XIĘŻNA.

Hrabino!.....

HRABINA.

Słuchajcie! wam w dostatkach szczęśliwie dni płyną.
A ja — dziś — nie mam nic już. O, wy dobrze wiecie
do czego to dojść można kiedy nędza gniecie,
pieszczone niegdyś zbytkiem i roskoszą ciało.
Wasz majątek jest moim.

XIĘŻNA (przestraszona do Matyldy).

Co to się jéj stało?
Komunistka! Szalona!..... Jak z gorączki bredzi!

HRABINA.

Słuchaj więc Xiężno, słuchaj Matyldo, spowiedzi:
Edward jest moim synem. — Jeden krok występny,
wiedzie nas w strasznych zbrodni labirynt posępny.
Zostałam matką w nędzy..... Uboga..... zhańbiona.....
bez rodziców, bez wsparcia, bez rady, wzgardzona
przez tego, który sprawcą był mojéj niedoli;
przecież jeszcze żyć chciałam..... jeszcze w mojéj woli,
obudziły się żądze znaczenia, świetności.
Szukałam szczęścia w zbrodni..... a szatan zazdrości
wskazywał mi bogactwa i przepych i stroje.
Występek znikł mi z oczu. — Dawne niepokoje
zgasły przed żądzą szczęścia, i mara nadzieji
wstąpiła w moją duszę..... W téj dziwnéj koleji
mego życia, zajaśniał przedemną świat nowy.
Twojéj to matki, Xiężno, ohydne namowy,
pod pozorem litości w jéj dom się przeniosły.
Waszego rodu stary szczep, niegdyś wyniosły,
wówczas próchniał od zbytku, i już miał się zwalić.
Toczył go ludzkiéj krzywdy robak, a ocalić

mogło go tylko złoto. Ostatnie gałązki:
młody hrabia, ty, Xiężno, schły marnie, a związki
z jaką możną rodziną, były czczém marzeniem.
Uczuła to hrabina. Świetném pochodzeniem
nie mogła zdobyć skarbów, więc narzędziem dumy
mnie wybrała. W około mnie pochlebców tłumy
wymuszona hrabiny dobroć, resztę wiary
w zacność i cnotę we mnie starły, a zamiary
zbrodnicze twojéj matki igraszką się zdały;
i nakoniec w mém sercu skażoném dojrzały.

(po chwili milczenia)

Edwarda ojciec pośród najstraszliwszéj męki
nagle żyć przestał. Napój podany z méj ręki
i..... z ręki twego ojca..... Matyldo!.....

MATYLDA.

O Boże!
Boże!..... (pada na krzesło bezwładnie ukryta za ekramem.)

HRABINA.

..... przerwał mu życie. A śmiertelne łoże
nieszczęśliwéj ofiary, sami sprawcy zbrodni
otaczali bez świadków..... i tylko niegodni
krzywoprzysięzcy, złotem kupieni hrabiny,
wyznali, iż Tężyński umarł z własnéj winy,
nieostrożności skutkiem. Bogactw liczne zbiory
były naszym udziałem, a wszelkie pozory
Xiąże zręcznie usunął. — Testament zmarłego
mnie powierzył by spalić. W końcu brata twego
oddano mi za męża. — Ty zostałaś żoną
mordercy i gasnący ród wasz ocalono.

(dziko śmiejąc się)

A teraz na mnie koléj.

(Zbliża się do drzwi wchodowych, otwiera je i wprowadza Mrozowicza.)

Oto prawodawca
waszych bogactw i moich. Równie biegły znawca
chemicznych preparatów, jak środków prawniczych,
on doradzcą był moich działań tajemniczych.

(do Matyldy.)

Wybieraj. — W jegz ręku ojca twego życie.
Ja spełniam jego wolę, wy moją spełnicie.

MROZOWICZ (z układną miną).

Chcę spokój wnieść w dom państwa. W dwóch słowach rzecz skończę
i sprawę, która w sposób niemiły się plącze
rozstrzygnąć z ich korzyścią, by dowieść im jawnie
szczerych przyjaźni uczuć. Xiąże winien prawnie
ulegać karze śmierci; lecz honor, sumienie
nakazują mi względy dla nich i milczenie.
Jednak mam obowiązki. — Dziateczki i żona
i fortunka staraniu memu powierzona.....
trzeba myśleć o jutrze. Oto są powody
co mię tu sprowadzają. Mam wszelkie dowody,
że dobra Xięcia pana nieprawnie nabyte,
że zapis zfałszowany, a imie ukryte
prawdziwego dziedzica dziś na jaw wyjść może.
Lecz ja przyjemny koniec wszystkiemu położę;
tylko nagrodę małą, nagrodę malutką
żądam za mą życzliwość, i sprawa ta krótko
a pomyślnie dla państwa skończy się. Racz pani
pomówić z Xięciem panem.

XIĘŻNA (z okropném przerażeniem).

W jakiéjże otchłani
piekielnych zbrodni stoję?!.... Jakiż straszny, ciemny
spisek nas tu otacza.....

(do Mrozowicza z pogardą).

Precz ztąd! precz nikczemny!

(wpada do pokoju męża i ciągnie go za rękę.)

(do Xięcia).

Idź! — idź! — ojcze Matyldy!..... idź spólniku zbrodni!
Mów z nim..... obaście zacni, oba siebie godni!.....

(w rozpaczy).

Dziś! dopiero..... dziś spadła z oczu mych zasłona!.....
I ja w odmęcie brudów wyklęta, zhańbiona,
ja żyć muszę z występném matki méj wspomnieniem,
ja żyć muszę z splamionem, zdeptanem imieniem!....
Imię mojego dziecka!.... dziedzictwo jedyne!....

(zbliżywszy się do MATYLDY kładzie ręce na jéj głowie.)

Boże — dozwól jéj zgładzić matki mojéj winę.

(odchodzi.)

XIĄŻE (do Mrozowicza).

Czego żądasz mój panie?

(W téj chwili wchodzi Prezes i patrzy bardo na Mrozowicza.)

MROZOWICZ (zmięszany spoglądając bojaźliwie na Prezesa).

Nic — Xiąże łaskawy.
Chciałem z Xiężną pomówić, względem mojéj sprawy.
Przykro mi.. ale Xiężna niezdrowa troszeczkę....
i ztąd mieliśmy z sobą.... tak.... maleńką sprzeczkę.
Radbym honor pogodzić z spokojnością Xięcia
i z przyjaźnią mą szczerą dla przyszłego zięcia. (kłania się.)
Wszak Hrabina..... zapewne.... wspomniała.... Dziś tylko
wraz z mém uszanowaniem.... chciałem jedną chwilką
przydłużyć moję bytność.... by o przerzeczone
poprosić dożywocie.... Czy mogę na stronę?....

(bierze Xięcia pod rękę.)

chwilę.... chwileczkę małą.... possesijka moja
wychodzi — muszę myśleć o jutrze.

PREZES (rzucając mu pod nogi worek ze złotem).

To twoja
possesijka — czy dosyć? — pięć tysięcy w złocie.
Ale precz mi ztąd zaraz. — To twe dożywocie.
To nagroda za wszystko. — Tu masz pięć tysięcy
czerwonych złotych — słyszysz? — jeźli trzeba więcéj
dam więcéj — a z Hrabiną nie trzeba się dzielić.
No! podejm! Ha! nie może dotąd się ośmielić.

(Mrozowicz podnosi worek — do Hrabiny.)

A Pani sam zapłacę. —

MROZOWICZ (zuchwale).

Mospanie Prezesie.

PREZES (srogo).

E! Mospanie Mrozowicz! Jam przecie jak w lesie,
nie siedział w trybunale i wiem co się święci,
wiem o panu nie mało, bom jeszcze pamięci
nie stracił, dzięki Bogu — więc milcz, proszę ciebie.
Wszak na to mam stosunki, abym mógł w potrzebie,
nieszczęśliwym nieść pomoc, a choć gardzę wami
od śmierci was wybawiam, memi stosunkami.

(pokazuje papiery.)

Oto wyrok sądowy — tajne doniesienie.
Dla Pana kara śmierci, — dla Pani więzienie.

(po chwili).

Lecz litość wzbudził we mnie ogrom waszych zbrodni
i te papiery u mnie — a wyście swobodni. —

(Hrabina oddala się załamując ręce — za nią Mrozowicz.)

PREZES (do Xięcia wskazując odchodzących).

Ta hrabstwem, ten honorem, chcą odrwić pół świata!
Ta dumna swym tytułem — a to demokrata!

(śmieje się.)

(po chwili — tajemniczo tonem poufałości.)

Miałem wzgląd na twą córkę, więcéj niż na ciebie
boś wiele głupstw porobił — wiele — jak Bóg w Niebie.
Ale szkoda dziewczyny! Takie miłe dziecię.

XIĄŻE (ściskając Prezesa).

Ach! kochany Prezesie — wróciłeś mi życie. —

(odchodzą.)

Chwila nieméj sceny.

MATYLDA sama za zasłoną z bluszczu. — W głębi — okazuje się KONRAD i wolnym krokiem zbliża się do MATYLDY, głęboko zadumanéj. — Milczenie.

KONRAD.

Pani dzisiaj smutniejsza, jak zwykle.

MATYLDA (budząc się z zamyślenia).

Smutniejsza?! —
Powiedz Pan raczéj: smielsza, szczersza, odważniejsza.
Kiedy chmura co chwila, jasną łuną błyska;
czy nie dojrzysz w jéj łonie burzy co grom ciska? —
Śmiech codziennem mem kłamstwem. Dotąd łzy tajone
dziś wezbrały, jak w głębiach nurty przepełnione.

(powstając.)

Jesteśmy sami teraz. — Na chwilę swobodna
spadłszy z szczytu wielkości, któréj jam niegodna
z wyżyn téj czci codziennéj, co mi serce ściska,
tych zaszczytów i skarbów skąd tyle łez tryska,
gdym z dala od téj tłuszczy pokornéj, układnéj,
z wymuszonym uśmiechem, pełnym myśli żdradnéj,
zdaje mi się, żem lepsza, zacniejsza, cnotliwsza,
jakbym się odrodziła weselsza, szczęśliwsza. —
Dzisiaj — jam sama sobą — dziś może raz pierwszy
widzisz smutek prawdziwy, nietajony, szczery.

(z boleśném szyderstwem.)

Tyle szczęścia! — O wszystko co może dać ziemia.
Tyle blasku — że światło aż oczy zaciemia,

(zamyśla się — z westchnieniem.)

i wzrok duszy przytępia!..... ach! czuję jak ślepnę,
i niby w lodu bryłę ścinam się i krzepnę.
Jestże to przesyt?..... (smieje się straszliwie.)
Ach! jam wszystkiem pogardziła
Jam tych skarbów nie tknęła..... (z wzrastającym zapałem).
Jam znienawidziła
nawet imię mych ojców!..... (Milczenie.)
I czegoż mi smutno?!
Ha! — tak! tak — jestem córką — wyrodną — okrutną!
Drogiego ojca mego brzydzę się imienia
i dobréj matki mojéj powiększam cierpienia.

(zamyśla się.)

Poczciwe ojców imię!..... a myśli mi brudzi!.....
Niegdyś zacne!..... a dzisiaj — pośmiewisko ludzi!.....

(po chwili milczenia.)

Dziś smutniejsza!..... o, dla mnie każdy dzień ponury.
Cóż mogło z mego czoła spędzić smutków chmury?
tych upręczeń tajemnych, co wraz z mem istnieniem
okoliły mą duszę ciernistym pierścieniem?.....
Lecz dziś, kiedy mych cierpień rwą się już bez miary,
Pozwól że z téj goryczą przepełnionéj czary,
Wyleję co mię chłonie, co dręczy, co boli,
Pozwól niech raz usłucham serca mego woli.
Wszakżeśmy krewni bliscy — tylko rodu pycha,
od świętych, drogich związków rodzinnych odpycha
najzacniejszego z ludzi. Wszak słuchać masz prawo
moich skarg, moich żalów, gdy mi tęskno łzawo.
Pozwól mi się poskarzyć — posłuchaj cierpliwie,
jak przyjaciel, jak brat mój — z spółczuciem, życzliwie.

Słuchaj mię — słuchaj — tylko och, nie śmiéj się ze mnie
Ja powiedzieć nie umiem, co się dzieje we mnie;
ale się nie śmiéj — widzisz — jam jeszcze dziecinna,
nie umiem prawdy mówić — lecz cożem ja winna?!.....
Błagam cię o tę łaskę, o tę tylko jedną,
O, miéj litość nademną, zlituj się nad biedną!
Ja bardzo biedna! — niemam przed kim się użalić.
Ty jeden — och, ty jeden możesz mię ocalić.
Pozwól mi mówić, pozwól....

KONRAD (surowo).

Czyliż mniemasz Pani —
że we mnie litość nawet nie powstanie dla niéj?
I gdy na świat ten patrzę zimnemi oczyma,
to już iskry uczucia w mojéj piersi niéma?!
Jeśli śmiechem szyderstwa widzisz usta drżące
zatrute gorzką mową, a częściéj milczące,
sądzisz-że, iż co święte, co zacne i prawe
ja mogę zniszczyć, zdeptać — jakby na zabawę?
i duszę rozjątrzoną boleści ogromem
skalać nędznym dowcipem lub bluźnierczem słowem?
Mniemasz, iż widząc ciebie znękaną cierpieniem,
nie uświęcę spółczuciem, nie uczczę westchnieniem?!
Przyczyna twoich bolów, Pani, mi nieznana,
ale zarzut bolesny, bolesna to rana.

MATYLDA.

Konradzie! o, jam ciebie obrazić nie chciała.
Przebacz mi — przebacz — widzisz — jam źle powiedziała.
Ach, ja nie wiem w téj chwili — co mówię, co czuję.
Tak mi się głowa kręci — ach! coś mi się snuje —
jakaś myśl — czegoś mi tak i straszno i błogo. —
Co mi jest? — Ach, ja nie mam, ja nie mam nikogo, —

komubym mogła serce otworzyć, a z tobą
tak mi dobrze — że myśli okryte żałobą
czarnych smutków same się wyrywają z cieni;
ulituj się nademną — nie rań mię boleśniéj.
Patrz — jak tu ckliwo, straszno na tym wielkim świecie,
a na nim jak w pustyni — ja — zbłąkane dziecię!
Taki tłum — a dokoła martwy chłód cmentarzy,
fałsz w ustach, próżnia w sercu — a uśmiech na twarzy!
Patrz, jak skaczą w tym tłumie lalki nakręcone,
całe nędzne me życie w ten łańcuch wplecione!
Pierwsze ogniwo w zbrodni — a ostatnie w złocie.
Z nimi muszę się ruszać, z nimi grzęznąć w błocie,
jak przestępca okuty żelazną obręczą,
któremu w noc i we dnie kajdanami brzęczą. —
O, gdybym mogła kiedy siłą mego ducha
stargać haniebne kolce społeczeństw łańcucha
i odlecieć osobném maleńkim ogniwem
i zamieszkać w ustroniu spokojném, szczęśliwém,
gdzieś daleko — by ludzkie oko nie dościgło;
gdzieś wysoko — w kraj ciepły, by serce nie stygło,
Ale tak mnie tu strzegą — tak mię tutaj więżą.
Na ramiona włożyli pęta co mi ciężą,
na usta mi wcisnęli śmiech z obłudną mową,
i to zowią rozumem, dystynkcją światową!.....
W téj straszliwéj wędrówce zdradzieckiéj ułudy,
w tym głuszącym odmęcie śród kłamstw i obłudy
postąpić wprzód nie mogę — a gdy prawdę badam,
wikłać się ciągle muszę i co krok upadam.
Ach, któż mi rękę poda? Któż słabą podtrzyma?
Kto zedrze tę zasłonę nad mémi oczyma?
Kto mi tę mgłę rozproszy, co jak z przeznaczenia
zawisła nad kolebką mojego istnienia,

by mię ścigać do grobu — w ciemnościach zostawić,
i serce moje wygryźć — i wzroku pozbawić!.....
O, ja gardzę mym stanem! ja z Xiążęcém godłem
muszę pełzać nikczemnie w tém bagnisku podłém,
z uroczych krain ducha i uczuć wygnana,
odtrącona — wyklęta — sama — zapoznana!.....
Dla mnie obce rozkosze w ducha uniesieniu,
dla mnie obca nagroda w spokojném sumieniu,
w spełnieniu powinności — w ratunku bliźniego,
czytałam o tém, lecz to bajką życia mego.

(z zapałem.)

Wszystko mi tu ohydny stan mój przypomina.

(oglądając się.)

Marmury, złoto i ta jedwabna tkanina,
Xiążęce szaty — skarby — dworzec okazały.
I te sprzęty i kwiaty i przepych ten cały;
A tyle ludzi w nędzy! — i ja im nie mogę
oczyścić cierniskami usłaną ich drogę,
przynieść słówko pociechy, otuchy, zachęty,
otrzyć im łzę rozpaczy!..... bo stan mój przeklęty
wszędzie stawi zaporę — ja mogę im tylko
od codziennéj zabawy, odkradzioną chwilką,
dojrzawszy nędzę z głodu, z choroby zniszczoną,
garść złota rzucić jak psom kość niedogryzioną.....
Ale łzą łzę ukoić — serce się nie sili,
bo mnie od niemowlęctwa płakać nie uczyli! —

(z boleścią i uniesieniem.)

Tylko mi serca jeszcze wydrzeć nie zdołali....
ale mi je skrzywili, podarli, zszarpali.
O, czuję, bije jeszcze — ale jego bicia
drzą już ostatniém tętnem gasnącego życia.
W tym zaduchu zgnilizny — w ciemnoty pomroku,
gdzie trącałam o bryły lodu w każdym kroku,

ostatki ożywczego ciepła, co w niém tlało,
zstudzone zimnem, które dokoła mnie wiało. —
Och i to serce we mnie już stygnąć zaczyna;
Odezwie się niekiedy, jak martwa sprężyna
martwego mechanizmu. —

(z gorzkim uśmiechem.)

Arcydzieła sztuki,
któremu mistrz dał kółka z pomocą nauki —
I swój towar wystawił — ażeby go sprzedać!...

(Milczenie.)

KONRAD (ponuro).

Pani! gdy serce w łonie — wszystko ocalone!
Choć morze twego życia posępne zburzone,
możesz jeszcze wypłynąć. — I z tych burz powodzi
na twojém sercu czystém, — jak na pewnéj łodzi
ocalisz twoją duszę świętą, nieskalaną.

MATYLDA.

Moje serce! Ach, czyliż mogłam skołataną
duszę unieść na sercu — z krainy zepsucia —
ocalić choćby iskrę świętego uczucia?!...
Żelazo rdza przegryza — jaż mogłam me serce
oddawszy wprzódy wszystko zgubnéj poniewierce,
wszystko co było drogie i święte i miłe,
nie wtrącić w tę straszliwą otrętwień mogiłę?!...
Nie — o nie!... Jam od razu tak nisko stanęła,
kiedy tylko opatrzność życie we mnie tchnęła,
Już mię dławił w kolebce jak grobowy kamień,
ten blask zwodniczych świateł, pokus i omamień,
już dusza u samego bytu tego proga,
nie mogła być tak czystą jak wyszła z rąk Boga.

(po długiéj chwili milczenia.)

O, słuchaj, jam występna! We mnie nic świętego!

nic niema! — czy ty słyszysz? — Co było dobrego
w mojéj duszy — wyrwali jak chwast niepotrzebny;
zniszczyli Boże plony; — tylko cierń haniebny,
zasadzili w téj wyschłej, spustoszałéj roli —
tylko cierń, co mi w sercu — tu — och tkwi i boli.
I teraz — na téj niwie — pusto, dziko, czarno —
same zbrodnie — a jeśli nie zbrodnie to ziarno,
ziarno straszliwych zbrodni!..... Jedna tylko cała
moja przyjaźń, o, bracie jedyny dla ciebie
tak czysta — jaką była dusza moja w Niebie.
To mi tylko na całym świecie pozastało;
tém tylko żyję jeszcze że nędzne to ciało
nie rozpryśnie się dotąd w cierpieniach bez miary.
Nie odtrącaj mnie biednéj, nie studź mojéj wiary,
że ty jeden Konradzie wyrwiesz mię z téj toni,
że mię tylko twa ręka od zguby ochroni
że ty jeden — ty jeden pojmiesz rozpacz moję.
Nie zabijaj mię słowem! — Jedno słowo twoje
może mię zabić — pęknie ostatnia sprężyna
i mojego istnienia grobowa godzina
da hasło śmierci......

KONRAD.

Pani!

MATYLDA.

Ach! nie mów mi jeszcze.
Niech się słodkiéj nadzieji marzeniem popieszczę.
Błagam cię — nie mów teraz — o milcz, milcz Konradzie,
może mi zechcesz mówić o fałszu, o zdradzie,
może szydercze słowo z ust twoich wypadnie,
może otwarłszy duszę, ukażesz mi na dnie,
obojętność i wzgardę, — ja spojrzę w jéj głębię
i resztę wiary w zacność w mém sercu wyziębię,

resztę stracę nadzieji, którą dotąd żyję,
ostatni zniknie urok, i to mnie zabije.
A ja tak chcę żyć jeszcze, mój wiek taki młody;
ja jeszcze nie zaznałam szczęścia, ni swobody!
Może świat jest piękniejszym niźli mi się zdaje,
może w nim tyle szczęścia, ile mnie nie staje.
Może ja kiedy zrzucę te więzy złowieszcze.
O, nie mów mi Konradzie, niech ja żyję jeszcze.

KONRAD.

Matyldo! czyż mię nie znasz, ja z szczęściem na wieki,
na wieki się rozstałem. Od świata daleki,
zamknąłem się sam w sobie w mych książek natłoku.
Szyderczy ukazując śmiech ludzkiemu oku.
Lecz dziś, gdy sama będąc rozpaczy ofiarą,
ty jedna mnie podnosisz ufnością i wiarą,
w moją zacność, dziś pani, dziś gdy nieszczęśliwa,
nieszczęśliwszego jeszcze pomocy przyzywa,
gdy przyjaźni wejrzeniem i szczerém i rzewném
rozjaśniasz drogę w mojém tułactwie niepewném.
Powiedz, powiedz Matyldo! czy w myśli mych niebie,
mam co prócz wspomnień ojca, méj matki i ciebie.

MATYLDA.

O Konradzie, Konradzie luby! słowa twoje
to całe moje szczęście, ja wyznać się boję,
wiesz, od kiedy mię dręczy ten stan mój złowrogi,
tylko mię przyjaźń twoja, o bracie mój drogi,
zdolna jeszcze unosić na szczęścia wyżyny.
Może moje uczucie, ten skarb mój jedyny,
jest miłością najczystszą, najświętszą, prawdziwą?
O, jeśli to jest miłość, byłabym szczęśliwą,
bo tylkobym o tobie, ach, tylko o tobie

mogłabym śnić i marzyć w tém życiu i w grobie.
A za grobem..... ja nie wiem, co tam, tam, za grobem.....
Książki, które mi dano, mówią że za grobem
nie ma nic — jak tam straszno!..... nie ma nawet ciebie!.....
Mnie uczono że żyjąc tu, można być w niebie.
Ach!..... dotąd piekło miałam..... a jeśli tam nieba
nie ma, o powiesz gdzie go szukać trzeba?
Nie wiem czemu, gdym z tobą, tak mi zawsze błogo
i wesoło, i dobrze, jak gdybym tą drogą
na twojém, o mój drogi, oparta ramieniu,
do nieba zajść już mogła, i w tém uniesieniu
zdaje mi się że całe niebo tu mi płonie,
żem go w sercu znalazła, o, tu, tu w mém łonie.
Jestli to miłość? — powiedz, powiedz o mój drogi!
Jestli on rajem, ziemią, piekłem ten stan błogi?
Jestli on niebem? — Może ja jestem już w niebie?
Może ja ciebie kocham?

(w najwyższém uniesieniu rzucając mu się na szyję.)

Ach! ja kocham ciebie! —

KONRAD (cofając się z przerażeniem).

Matyldo! ty mię kochasz?!..... Nieszczęsna!

MATYLDA.

Mój luby!

Ty się gniewasz?

KONRAD.

Matyldo! chceszże własnéj zguby!.....

(po chwili).

i mojéj!..... O, nieszczęsny! ach tegożem dożył,
żebym tobie za życia grób straszny otworzył!
Ty mię kochasz Matyldo? — Wieszże co w tém słowie
najstraszliwszych męczarni, gdy Xiąże się dowie?!.....

Czemużem ja wygnany nie zniknął z twych oczu!
By zaginąć we mglistém téj ziemi pomroczu.
Czemużem poznał ciebie, by twą pierś dziewiczą
natchnąć uczuciem takiém, miłością zbrodniczą?!

MATYLDA (dumnie).

Zbrodniczą? — Ty nazywasz uczucie me zbrodnią,
uczucie co lśni jasną, niebiańską pochodnią,
co mię wznosi, uzacnia, do aniołów zbliża.
Mą miłość, którą tylko ten stan mój poniża.
O, Konradzie, Konradzie! — odtrąć mię od siebie,
odepchnij mię, wierz tylko że ja kocham ciebie.
W téj chwili, och! uczułam czém jesteś ty dla mnie.
O! tylko się nie gniewaj, tylko spojrzyj na mnie!
Konradzie! wiem mój drogi żem ciebie niegodna,
odepchnij, lecz nie gardź mną!.....

KONRAD.

O, córko wyrodna!
Wieszże jakiém straszliwém, zabójczém żelazem
przeszywasz serce ojcu i matce twéj razem!
Wieszże co ciebie czeka gdy cios ten przeżyją?!.....
Jeśli cię twego szału czucia nie zabiją?!.....

(po pauzie niby w obłąkaniu do siebie).

I ja, ja niegdyś żebrak, dziś tułacz po świecie,
jam zabił to xiążęce, och! anielskie dziecie!
To dziecię com wypieścił w krainie mych marzeń,
w cudowne oblókł kształty moich wyobrażeń;
jam mu zgotował przyszłość straszniejszą od piekła,
jaką dać może duma w swéj zemście zaciekła!
Jam go rzucił na pastwę handlarzom bez serca,
co kupioną ofiarę wloką do kobierca,
by związawszy ją szlubem u ołtarza progu,

krzywoprzysięgać sobie i ludziom i Bogu.
Jam zaćmił mą nauką te światowe słońca
co świeciły w jéj życiu, by długie bez końca,
straszne męczarnie jadu wlać do serca tego,
by zniszczyć szczęście ziemi, a nie dać innego!.....
O, przeklęte nauki! — przekleństwo nademną! —
Nie! ja ciebie nie kocham!!!

MATYLDA (po długiém milczeniu).

Boże!..... jak tu ciemno!.....
Jak tu straszno, grobowo, jak zimno.....
(zakrywa oczy, trąca ozdoby stojące na stole.) ha!..... co to!.....
To cmentarz, zgliszcze... trumny... nie... (z uśmiechem) to tylko złoto!.....
Ale tu (pokazując na serce) pusto!..... martwo — och! same zwaliska!.....
Mogiły, cmentarz, koście, obrzydłe kościska.....
Groby, i krzyżów tyle, ha! na co te krzyże!
(bierze się za głowę.)
Ach! jak mi przeraźliwie jęczą w uszach śpiże!.....
Czy to mój pogrzeb?..... i nikt, nikt za mną nie płacze!.....
(drze suknie.)
Któż płacze na pogrzebie?..... Ach, szmaty żebracze.
Ja sierota?!..... o, nie!..... ja miałam ojca — matkę,
i pałace, a teraz, teraz, ot tę chatkę,
trumnę, grób. — Jak tu dobrze, lepiéj jak na świecie,
och! tam ciasno mi było.....
(przyciskając ręce do piersi.)
ta ziemia mię gniecie;
ale ja śpię, ja tylko śpię, ja jeszcze żyję.
Na cóż mię zakopywać..... patrz — serce mi bije,
jeszcze bije, o! słyszysz? — ja jeszcze tak młoda.
(cisnąc silniéj ręce.)
Ta ziemia, och! ta ziemia, o! szkoda mnie, szkoda!

KONRAD (podchodząc osłupiały).

Matyldo!

(Matylda budząc się, wydaje krzyk przeraźliwy; długo wpatruje się w Konrada, w końcu pada przed nim na kolana i zaczyna płakać. Konrad ja podnosi. Długie milczenie. — Tylko słychać łkanie Matyldy. Konrad jak posąg nieruchomy stoji przed nią, wpatrując się w jéj oblicze.)

MATYLDA (powoli przychodząc do siebie).

To ty! Jakże zmieniony! co tobie? mój Boże!
Czegoż? patrz, jam spokojna. — Idź, ktoś zejść nas może.
Ja o ciebie się lękam, patrzaj, jam wesoła.
Tak mi dobrze, jak gdybym wróciła z kościoła,
jak gdyby po modlitwie. — Ja się czasem modlę,
choć pacierza nie umiem, za ciebie się modlę,
(z uśmiechem.)
do ołtarza, co ot tam, widziałeś w kościele?
Złocisty cały, ojciec mój dał złota wiele.
Mówi że tam jest Pan Bóg w tym złotym ołtarzu.
Ale ty mię uczyłeś inaczéj. (zamyśla się.) W ołtarzu
nie ma Boga, jeśli jest gdzie (zamyśla się.) ...Tak mię bałamucą,
że mi mój błędny rozum do reszty przewrócą.
Czegoż tak straszno patrzysz? — Jakie dziecko z ciebie.
A uczony! Nie umiesz tego zrobić z siebie
co ja, patrz, już mam uśmiech na ustach, a w oku
ni śladu łez, ty stoisz, nie postąpisz kroku!
(śmieje się.)
cha! cha! źle wychowany, udawać nie umie,
powiedzą, że ci czegoś brakuje w rozumie.
Śmiać się będą, idź, idźże, cha! stoi jak skała!
(po chwili.)
Jak mi wesoło, (smutnie) pierwszym raz w życiu płakała.

(Konrad stoi nieruchomy.)

(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU CZWARTEGO.

AKT PIĄTY.

Łąka otoczona drzewami. Na boku skały. Zachód słońca.

EDWARD w stroju fantastycznym. KONRAD w krótkim płaszczyku. Oba z pistoletami w ręku.

EDWARD.

I ktoby się spodziewał? Z jednego wieczora
dwie sprawy! — To prawdziwe nieszczęście. Tak wczora
celowałem do Xięcia; a dziś w chwil nie wiele
Mrozowicza gdy los mi posłuży zastrzelę. —
Lecz wyzwać go musiałem. Srożył się i gniewał,
groził mi pojedynkiem. — Ktoby się spodziewał?!.....
Ja tak lubię spokojność. Ja chciałbym z wszystkiemi
żyć w zgodzie, by mi dobrze było tu na ziemi
aby mi nic humoru mego nie kłóciło;
a tu, dwa pojedynki! Ani mi się śniło!

KONRAD (z uśmiechem).

Jeden już zakończyłeś; drugi wnet się skończy.

EDWARD.

Z jednym i z drugim dobra znajomość mię łączy.
Prawdę mówiąc, żal mi ich, bo dobrzy sąsiedzi. —

KONRAD (szyderczo).

Tak zawsze bywa, gdy kto na dwóch stołkach siedzi.
Z panami ślizka przyjaźń, a szlachta zuchwała
nie szanuje i pańskich przyjaciół; stąd cała,

wpół śmieszna wpół nie miła sprawa ta wynikła
Mrozowicz gra komedje, lecz sam się zawikła
jak mniemam w sieć tech intryg które ci zgotował.
Nadzieje go zawiodą. On wiele rachował
na ciebie. —

EDWARD.

Ty o wszystkim wiesz?

KONRAD.

Dziwisz się temu?....

EDWARD (wzruszony).

I mógłżeś podać rękę mnie, mnie niegodnemu!.....

KONRAD.

Cel jego był widoczny. Zobowiązać ciebie
Matyldy ręką z pewną korzyścią dla siebie.
Wié iż czego nie dopnie z bojaźliwym Xięciem,
dokaże niewątpliwie z jego słabym zięciem.
Nagrodą: dożywocie: bezpłatna dzierzawa
A Xiężniczka Matylda twoją, i ta sprawa
pod puklerzem honoru skrywana zdradziecko,
jest to właściwie mówiąc handel, targ o dziecko.

EDWARD (z rozrzewnieniem).

Nigdym się jeszcze nie czuł tak upokorzonym
tak zdeptanym zelżywie, rozdartym zhańbionym.
Twe słowa mnie zabiły. — O, nie! ja umarły —
byłem dotąd. Dzisiaj mi oczy się otwarły. —
Dziś dopiero żyć zacznę. Twa przyjaźń mię wskrzesza.
Dziś poznałem co znaczy magnatów tych rzesza.

KONRAD (z godnością).

Ty przyjaźni méj nie masz. Ja ciebie szacuję
nie dla tego czém jesteś, lecz czém będziesz. Czuję,

że wiele masz zasobów do szlachetnych czynów.
I jeśli salonowych zrzekniesz się wawrzynów,
które ci na skroń wkłada pochlebstwo nikczemne,
jeśli z wzgardą odrzucisz te śmieszne i ciemne
zasady towarzystwa, które oświeconem
dla tego tylko zwie się, że świeci milljonem,
albo przedpotopowéj ery sięga z rodu,
mając siebie za rdzenny pierwiastek narodu;
jeżeli przejrzeć zechcesz i poznasz te drogi,
jakiemi ludzkość idzie by zdobyć byt błogi,
choćby odblask królestwa Bożego na ziemi,
będziesz jeszcze człowiekiem nie lalką.

EDWARD.

Twojemi,
mój Konradzie, słowami karmię duszę moją.
O, one mię rozkoszą dziwną jakąś poją.
Chwytam te drogie ziarna; i wierz mi, gdym z tobą,
jam szczęśliwszy nie będąc w walce z samym sobą.
Chłoszczesz mnie sprawiedliwie. Bronić się nie mogę.
Godzien kary, kto taką jak ja, obrał drogę.
Lecz, przebacz mi Konradzie. Dziś mi dajesz nowy
dowód twéj szlachetności, gdy spieszysz gotowy
nieść mi pomoc w téj sprawie. Czemże ci okażę
mą wdzięczność, mój szacunek?!.....

KONRAD.

Gdy zdejmiesz potwarze
które ciężą na tobie. Mówią żeś ty w zmowie,
z hrabiną, że majątek Matyldy w połowie,
z twéj ręki ma należeć do niéj.

EDWARD (w najwyższem wzruszeniu).

Ha! Konradzie!

Ty wiesz o wszystkiém! Kto ci mówił o téj zdradzie,
o tym spisku okropnym? —

KONRAD.

Xiąże.

EDWARD.

Tracę głowę; —
Xiąże? — Xiąże? —

KONRAD.

Podsłuchał tajemną rozmowę,
i mnie wszystko wyjawił. —

EDWARD.

Lecz jakież miał cele?
A! piekło w mojéj duszy. O, nie! To za wiele.
Tyle zbrodni, podstępów! Jakiś utajony.
Straszny zamiar się knuje. I ja, ja spodlony,
śmiałem tobie powierzyć honorową sprawę!.....
(z ironią) honor!..... z którego ludzie dziecinną zabawę
dla półgłówków zrobili!..... Dość już, dość!..... Rozumiem
Dziękować nie potrafię, przeprosić nie umiem,
lecz..... ja ci nie śmiem ręki podać.

KONRAD.

Więc masz moją.
Szczerą bratnią. Pojmuję teraz boleść twoją.
podzielam ją, i odtąd więcéj cię szacuję.
Może wznieść się, kto upadł, gdy jeszcze ból czuje.
Wiesz że drwię z pojedynków, lecz przesądów dawnych
niszczyć nie zamierzałem. Tylu ludzi sławnych,
dostojeństwem, nauką, nie są od nich wolni.
Żądałeś méj pomocy. Towarzysze szkolni
mają prawo wymagać posługi odemnie.
Przybyłem na twój rozkaz. —

EDWARD.

Lecz mniemam daremnie.
Mrozowicza tu niema. Ten co tyle prawi
o honorze i cnocie, dotąd się nie stawi. (patrzy na zegarek).
A godzina już mija. Zostaw mnie samego.
Ja nie chcę sekundanta. — Proszę cię.

KONRAD.

Dla czego?

EDWARD.

Sam zostanę. Takiego jak on przeciwnika.
Jam tylko godzien. Niech się z nim równy potyka.

KONRAD.

Ja na to nie zezwolę.

EDWARD.

Nie! To być nie może.
Ja się dzisiaj nie strzelam. Rozprawę odłożę.
Niechcę twéj obecności.

KONRAD.

Ja za ciebie stanę.

EDWARD.

Konradzie! Chcesz mię zgubić.

KONRAD.

Odejdź, ja zostanę.

(siada pod drzewem.)

Będę tu czekał.

EDWARD (przechadza się zniecierpliwiony).

Ja cię błagam.

KONRAD.

Napróżno. —

(słychać w głębi lasu wystrzał z pistoleta.)

KONRAD.

A! to znak umówiony. Potrzeba odstrzelić.
Strzelaj do tego drzewa. (Edward mierzy.) Staraj się wystrzelić.
Jeśli trafisz, Mrozowicz zginie.

(Edward strzela.)

KONRAD (oglądając drzewa.)

Aż trzy trupy.

Patrz, trzy drzewa zraniłeś.

EDWARD (zmieszany)

Co mówisz, trzy trupy.

KONRAD (poważnie).

Tak! I cóż w tém dziwnego? Małoż ich na świecie?!.....
Chodzą, jedzą i piją, a śmierć już ich gniecie,
choć ogniem żądz tli oko, choć ciało ich w ruchu;
bo w sercu cisza śmierci, a zgnilizna w duchu.

(Mrozowicz zbliża się.)

EDWARD.

Otoż Mrozowicz.

MROZOWICZ.

Witam, witam was, panowie!
Przebaczcie mi spóźnienie. Już w drogi połowie,
przyszła mi myśl: że mogę zginąć w téj potrzebie.
Więc wstrzymuję się. — Wracam, co prędzéj do siebie.
Robię rozporządzenie. Żegnam żonę, dziatki.
Zostawiam te sieroty, w objęciach ich matki,
zrozpaczonéj, zalanéj łzami, a sam spieszę
spełnić co każe honor, i mocno się cieszę,
że zastaję tu panów. —

KONRAD.

Czy wątpiłeś o tém?

MROZOWICZ.

Bynajmniéj. Widziałem was jadących, a potem

wiem, wiem moi Panowie, z kim mam do czynienia;
z ludźmi zacnymi, z ludźmi honoru, sumienia. —

KONRAD.

Mniéj mówmy o sumieniu. Przystąpmy do rzeczy.

MROZOWICZ (do Konrada)

Jestem gotów. — Gdy zginę, miéj, proszę, na pieczy,
moją biedną rodzinę. — Ja życia nie cenię.
Honor mój nieskażony. Czyste mam sumienie.
Śmierć więc dla mnie igraszką. Stawię się wezwany.
Jednak uprzedzam Panów, iż leciuchne rany
nie zakończą téj sprawy. — Komedji nie lubię.
Dam zaraz tego dowód na malutkiéj próbie.
Proszę rzucić złotówkę, wysoko.

(Konrad rzuca — Mrozowicz strzela.)

Trafiona.

KONRAD (uśmiechając się).

To nie dowód. Złotówka ta nie uzbrojona.
Ale gdzież pański świadek?

MROZOWICZ.

Szukałem, prosiłem.
Nie znalazłem nikogo. — W końcu sam przybyłem,
nie mogąc śród przyjaciół mych zrobić wyboru.

KONRAD (złośliwie.)

Pomimo taki zapas sumienia, honoru?.....

EDWARD.

Tém lepiéj. Zostaniemy sami tu, Konradzie!
Nabijaj pistolety. (Konrad wkłada patrony.)

MROZOWICZ.

To przeciw zasadzie
pojedynków. —

EDWARD.

Tu prawem jest walki chęć szczera.

MROZOWICZ.

Boli mię ta zawziętość.

EDWARD.

Niech Pan broń wybiera

(do Konrada.)

Odmierz metę i odejdź. —

MROZOWICZ.

Trzy lub cztery kroki.....

Wszelako..... może odwlec.....

EDWARD.

Nie! — bez żadnéj zwłoki.

Edward staje w postawie pojedynkowéj o kilka kroków od Mrozowicza. —

KONRAD (dobywa krzyż).

Bracia! W imię Chrystusa zgoda. —

(Wpadają Major i Xiąże.)

Zgoda! zgoda!

Długie milczenie.

MAJOR (wychodząc na środek).

Bracia! Dotąd z litością i żalem patrzałem
na waszą śmieszną wojnę. Cierpliwie słuchałem
waszych wrzaw, waszych sporów. Schylony nad grobem
nie miałem dosyć siły; myśleć nad sposobem
by was wyrwać z téj smutnéj zaślepienia toni,
by wykazać jak strasznéj bratobójczéj broni,
używacie na siebie w szalonym obłędzie.
Zgubą on waszą, bracia, zgubą dla was będzie.
Dzisia już usta moje wstrętu oburzeniem
rozwarły się by do was ludzkości imieniem,
i imieniem prawdy świętéj przemówić. — Te włosy
wiele mi prawda dają. Nieszczęśliwe losy

tylu rodzin, owocem są waszéj niezgody.
Przez nią nikną jednostki, giną dawne rody;
przez nią niecnót zaraza śród *panów* się szerzy,
przez nią krzewią się fałsze w umysłach młodzieży.
I jako tych dwóch braci, dłonie uzbrojone,
tak naród rozdzielają doktryny szalone! —
Dzisiejsza walka wasza, smutny przykład stawia,
kastowéj nienawiści, strasznego bezprawia.
Czczemi nazwy szarpiecie narodu ostatki;
I któż te wojnę toczy? — Dzieci jednéj matki?

(po chwili.)

Prawicie o honorze, a skalani w błocie,
w brudzie bezecnych intryg, w haniebnéj ciemnocie,
mniemacież iż przez dumy obłudną zasłonę,
nie dojrzy zbrodni waszych oko doświadczone?

(do Mrozowicza.)

Pan — przykryty zwierzęcéj odwagi pozorem
chciałeś haniebne cele pokrywać honorem.

(do Edwarda.)

Pan z Hrabiną w występnéj i bezwstydnéj zmowie,
dzieliłeś się Xiężniczki majątkiem w połowie.

(do Xięcia.)

A Pan, dumny swym rodem.....

XIĄŻE (zmieszany przerywa).

Pozwolisz Majorze,
że mię z tymi Panami co tak o honorze
rozprawiać lubią, stawiać na równi nie można.
Ton twój dzisiaj zbyt śmieszny; — mowa nieostrożna.
Przyznaj iż mam do względów pewne przywileje
które *nam*, panom, służą; od których jaśnieje,
znamienity ród przodków w krwi naszéj płynący.
A jeśli *faire une bévue* zdarza się niechcący

z *nas* którem, pozwolisz że co nam uchodzi
nie może temu ujść co..... Bóg wie skąd pochodzi.

MAJOR (z oburzeniem).

Mości Xiąże! Na równi nikt ciebie nie stawi.
Nad wszystkich wyższyś zbrodnią. Rzecz całą wyjawi:
ten testament. Hrabina nie żyje. — Edwardzie —
Twe imię dotąd dane poniewierce, wzgardzie,
może zajaśnieć, jeśli godność osobistą,
więcéj zdołasz ocenić niż tarczę złocistą. —
Majątek Xięcia twoim (pokazując na Xięcia.) Przed tobą zabójca
Twojéj matki Hrabiny i twojego ojca.
Matkę twoją zabiły, sumienia zgryzoty
Twego ojca, trucizna. — (Dostaje papiery i oddaje Edwardowi.)
Oto dowody. —

(Xiąże okazuje znaki najwyższéj niecierpliwości.)

EDWARD.

Przepaść, a! przepaść przedemną!.....
Jeszcze mogę być zacnym..... a przeszłość nikczemną
tylko tém mogę zatrzeć (drze testament.) Ja bogactw się boję.
One są zbrodni źrzódłem. — Niechcę ich, to twoje.

(oddaje papiery Xięciu.)

Dziś czuję żem Matyldy ręki był niegodny. —

Odchodzi. — Za nim Mrozowicz. — W głębi za drzwiami ukazuje się Matylda.

XIĄŻE (ponuro patrząc za odchodzącym Edwardem).

Tak! — Ty możesz być zacnym, a ja, ja wyrodny,
potomek wielkich mężów..... nie mam nic przed sobą.
Dla mnie, wszystko skończone?..... Méj tarczy ozdobą —
tylko zbrodnia i pycha; — a zgrzybiałe lata,
występków mych nie zgładzą..... Schodzę z tego świata
znudzony jego zbytkiem..... zhańbiony..... zbolały.....
Lecz jeśli jednym czynem, zbrodni szereg cały,

Można zmazać, niech ojca wypełnię powinność.
Konradzie! Mojéj córki cnoty i niewinność
Godne twéj zacnéj duszy. — Ty w szlachetnéj dumie,
Taiłeś miłość. Serce ojca to rozumie.
Matylda ciebie kocha. Nim to nędzne życie
zakończę śród tych cierpień co mię dręczą skrycie,
chcę ją widzieć szczęśliwą. A nagrodą tobie,
jéj ręka. Patrząc na was ciszéj, legnę w grobie.
Zrzekam się głupiéj pychy, dla niéj, dla niéj jednéj.

MATYLDA (wypadając z za drzewa, rzuca się do nóg Xięcia.)

O, mój ojcze szlachetny, o mój ojcze biedny!

XIĄŻE.

Tyś tu?!..... (odwraca się z rozpaczą).
Więc jéj nie tajne wszystkie zbrodnie moje!.....

MAJOR.

Dziecię drogie! Ja starzec nad grobem już stoję.
Dla mnie zakryte przyszłe losów naszych dzieje,
lecz w was i związku waszym pokładam nadzieję
że zabójczą niezgodę co naród rozprzęga
zastąpi ducha jedność i zgody potęga,
że jako serca wasze, miłością spojone
zleją się w bratni uścisk, czucia rozstrzelone.
Miłość zwycięża wszystko i łączy wam dłonie.

KONRAD (stoi nieporuszony).

Ja do was nie należę. W missjonarzów gronie,
dziś wypełniłem śluby.
(pokazuje na krzyż.)
Z tém godłem zbawienia,
idę na wschód. Tam czeka praca rozkrzewienia
Chrystusowéj nauki. Jéj duchem natchniony
słowo Boże przeleję, w ludów milljony;

(z wzrastającym zapałem.)

milljony ludów w jedno ognisko zespolę.
A was, żegnam na zawsze. Może horda dzika
zda mi zginąć zaszczytną śmiercią męczennika.

MAJOR (wzruszony).

Giną starzy i młodzi, zacni i zbrodniarze;
giną wielcy i mali. — Ojczyzny ołtarze
pokryte ofiar stosem, który wciąż się pali,
a ludy jęczą. — Boże! Kto je, kto ocali?! (odchodzi smutny.)

XIĄŻE.

Ha! przekleństwo mię ściga! O, dziecię me, dziecię!

(odchodzi.)

MATYLDA (w rozpaczy do siebie).

Ja to, ja mem wyznaniem, złamałam mu życie!.....
I gdy go wielkich czynów czeka przeznaczenie,
może w zbolałém sercu miłości wspomnienie,
co mojego istnienia, niebiańską pochodnią,
zmyli mu drogi święte..... (zamyśla się.)
(z energją.) Moja miłość — zbrodnią.

(przystępuje do Konrada).

Słuchaj! Gdy ci mówiłam że ja kocham ciebie,
Kłamałam..... czy ty słyszysz? Kłamałam przed tobą.
Dziś, kiedy przeszłość moja okryta żałobą,
wszystko wyznam — wszak dobrze odegrałam rolę?.....
Wiesz że umiem udawać i rozpacz i bole.
Moje oczy kłamały..... i serce, i usta,
Nudziłam się straszliwie, przyszła mi myśl pusta.....
Chciałam ciebie próbować. —

KONRAD (mimowolnie półgłosem).

Ha! potwór!..... (głośno.) Kobieto!.....

(długie milczenie.)

Igrałaś z życiem. —

MATYLDA.

Z życiem? — Z szaleńcem, z poetą.
Z blasku ócz twoich, z dźwięku twojéj drżącéj mowy,
poznałam żeś mię kochał. Szał młodzieńczéj głowy
chciałam, bawiąc się leczyć, a ty..... dziecko z ciebie,
uwierzyłeś, Szalony! Patrz, patrz, tam na Niebie,
widzisz to jasne słońce? — I tych gwiazd milljony,
one świecą i we dnie, choć wzrok twój przyćmiony
nie dojrzy ich, tajemnie drżą jasnością swoją,
lecz przed promieniem słońca ukazać się boją;
a ty, z wiarą zuchwałą, biedna gwiazdko mała
mógłżeś mniemać w swéj dumie, żem ciebie kochała.

(śmieje się.)

Ha! bledniesz. — Jakże śmiesznym wydajesz się teraz.
Biedny, o biedny Konrad! Wierz mi, wierz mi, nieraz
szczera mię litość zdjęła, gdym badała siebie.
Żałuję cię. — Do prawdy, żal mi, żal mi ciebie.

KONRAD (pomieszany).

Kto ci mówił o mojéj miłości? O, Pani,
Ja jednem, jednem słowem uczuć mych otchłani
nie odkryłem przed nikim. Nie mówiłem tobie,
żeś piękna, żeś urocza, że w życiu i w grobie
chcę z tobą dzielić szczęście; nie rzekłem ni razu:
że mię w sennych widziadłach twojego obrazu,
ściga odblask tajemny, — żeś ty ideałem
młodzieńczych marzeń moich, czynów mych zapałem,

(zapominając się.)

żeś ty..... dla mnie najmilsza w twych rowiennic gronie,
i nie wstrząsłem cię burzą co wre w mojém łonie.

(patrząc na nią.)

Anim twojéj przyjaźni nie żądał zuchwale,
ni uczuć siostry nigdym nie szukał w podziale,

ni dzwięku grzecznych słówek których próżnia boli,
ani spółczucia w szczęściu, litości w niedoli.

(zamyśla się, patrząc jéj w oczy nieprzytomnie).

Och: tylko nigdy ciebie błagać nie przestanę,
ilekroć w straszném, mglistem myśli mych pomroczu,
zniknie natchnienia promień, jak w zburzonéj fali,
znika gwiazd światło drżące, chmurami rozwiane,
o jedno, jedno tylko spojrzenie twych oczu,
..... choćby szyderskie, zimne jak błysk stali. —

MATYLDA (obojętnie).

Chcesz ukrywać przedemną. Jest zdrajca tajemny,
co kraj najskrytszych myśli głęboki i ciemny,
chwyta w zwierciadła duszy malutkim obrazie,
i każdy uczuć odcień we wzroku wyrazie,
nakreśla wprawną ręką. Tylko trzeba umieć
czytać. — (śmieje się wesoło.)

KONRAD (hamując złość.)

Tak, trzeba umieć czytać i rozumieć.
Ale nie w waszym świecie, gdy morderstwo, zbrodnia
jest zwyczajną zabawką powtarzaną co dnia,
ale nie w waszym świecie, gdzie niewiasty serce,
wszystko co święte, tłumi w tlejącéj iskierce. —
Nie tobie dano pojąć tajemnic tych księgę,
i zbadać wzniosłych uczuć czarowną potęgę. —
Jakżeś ty zbrzydła dzisiaj!!.....

MATYLDA (zawsze zimno).

Patrz — jaśnieję cała,
rozumu blaskiem, co nad mojém czołem pała.
Dumna jestem, wspaniała, krok śmiały i pewny
wyższą mię czyni. — Wzrok twój ponury..... i rzewny.....
i śmieszny..... Ja rozwagi mieczem każdą duszę
podbiję, wzrok odtrącę, każde serce skruszę.

Tyś słaby, wstydź się, gdzie męztwo!..... gdzie siła woli!...
Cierp i milcz, gdy cię ostry cierń krwawi i boli.
Cierp, z pogodném obliczem, zasługą męczeństwo.
A miłość, taka miłosć, marzenie, szaleństwo.....
A jeźliś mężny, wielki siłą twego ducha,
zerwij kruche ogniwa miłości łańcucha
które krępują polot krwawéj wyobraźni. —

(po chwili.)

Zostaw mi tylko cząstkę, cząstkę twéj przyjaźni. —
Ty mię kochasz Konradzie, widzę to i wierzę,
czy słyszysz? wierzę tobie, dziękuję ci szczerze;
ale słuchaj mię, słuchaj, ja nie mam nikogo
coby mię wspierał radą jaką iść mam drogą.
Odkąd sama wstąpiłam na życia bezdroże,
nie mam ręki co krokiem kierować mym może.
Młodą jestem, lecz czuję obowiązków siłę. —
Muszę cię ostrzedz. Rozwiąż pytanie zawiłe:
Jakie twe cele? Dokąd dójdziesz twoim szałem?

KONRAD (w uniesieniu).

O! na cożem cię poznał! na cóż cię ujrzałem!!

MATYLDA (zimno).

Zaczynasz być rozsądnym, masz słuszność.

KONRAD (z wzrastającym zapałem.)

Ha! — piekło
wtenczas mi w duszę, tak, to szał, namiętność wściekłą,
jakiś szatan mi natchnął. — (zatrzymuje się.)
(z łagodnością.) Bluźnię, tchnienie Boże
tylko takie uczucie w sercu zdradzić może.

(rozczulony.)

O, Matyldo! Ja byłem, tak byłem szczęśliwy.
Tak mi błogo dzień schodził, słów twych obraz żywy

tkwił mi w duszy przeczystym, lśniącym się promieniem,
całe me życie było wspomnieniem, — marzeniem.
Urokiem mowy twojéj żyć mógłem tak długo.
Każde przyjazne słowo.....

MATYLDA odwraca się w najwyższém uniesieniu.

On mnie kocha!..... Boże!.....
Zabiję go słowem, gdy moim być nie może.

(do Konrada.)

Ty nie masz méj przyjaźni. —

KONRAD (postrzegając się.)

Cożem wyrzekł! — Dziecko,
dziecko z ciebie!..... chciałaś mnie wybadać zdradziecko.

(śmieje się.)

MATYLDA (wzruszona.)

Konradzie!

KONRAD (zimno.)

Próżność w obłęd wprawia cię zwodniczy.
Im większy będzie zawód, tém więcéj goryczy.
(szyderczo.) gdybym cię śmiał pokochać, oświecona Pani
wiesz że życia nie cenię, w smiertelnéj otchłani,
znalazłbym cierpień koniec. — Lżéj umrzeć, niż znosić
litości wzgardę, albo o wzajemność prosić. —

(nieprzytomnie.)

Tak, ja, umrę, a ty, ty, będziesz żyć szczęśliwa.

MATYLDA (z dumą).

Chcesz mię straszyć, umieraj, nie jestem trwożliwa.
Twe słowa budzą tylko wstręt i oburzenie.
Zmieniłam przyjaźń w litość, litość w wzgardę zmienię. —

KONRAD (z goryczą).

Wzgardę? — I ty, jak inne, kobieta!..... i dumna
Xiążęcem dostojeństwem, bez serca, rozumna,

codziennéj przebiegłości rozumem morderczym
litością chcesz mi płacić, i śmiechem szyderczym!.....
Uspokój się Xiężniczko! — W bezmiarze cierpienia,
wyćwiczony przez cały ciąg mego istnienia,
umiałem znosić wszystkie świata tego męki,
i z miłości nie wzniosę samobójczéj ręki. —
Ty mię chłodem słów twoich w tyrańskiéj rachubie
chcesz oddać strasznych bólów niechybnéj zagubie; —
w sercu topisz nóż zemsty uczuciem miotana,
i patrzysz zimném okiem czy głęboka rana!.....

(unosząc się coraz więcéj.)

I dumna ducha mocą, chcesz w zabójczém słowie
mnie schronionemu w dzikie i głuche pustkowie,
ostatni cios śmiertelny wymierzyć, i śmiechem
szatańskim, strasznym, *twoim*, z ostatnim oddechem,
konającéj ofiary zlać się w jedno brzmienie,
w jeden piekielny akord, i ostatnie tchnienie,
marzyciela, szaleńca, rozumem ze stali,
jak trupa krajać, ważyć na rozsądku szali. —

(z uczuciem największéj boleści.)

Ja już biesiadę życia, w dni moich połowie
skończyłem. Spojrzę w przeszłość. — Straszliwe pustkowie,
widzę tylko za sobą. — Próżno, głucho, ciemno. —
Po mnie śladu już niema! Grób straszny przedemną.
Przebiegłem życia kolej w występnym bezruchu;
wszystko co było Boskie w nieśmiertelnym duchu
zmarnowałem, zdeptałem, jak grat niepotrzebny,
i tylko w sercu mojém utkwił ciém haniebny,
zgryzoty nazbyt poźnéj, co za życia, duszę
wtłacza w piekielnych otchłań okropne katusze.
I tylko jak dym marny, życia mego chwile
złożę w opustoszałéj przeszłości mogile!

Młodzieńcze moje, pełne rajskich ulud, lata,
pierzchły jak sen poranny, jak zmora skrzydlata!.....
I wielkość, imię, sława co mi w duszy wrzały.
Ojczyzna, wielkie cele, z dymem uleciały!.....
Dziś złamany, zbolały, upadły, wzgardzony,
twém szyderstwem przeszyty, rozwagą zmrożony
gdy myślą mimowoli, wznoszę się nad tobą,
jako zbrodniarz drżę cały, stojąc sam przed sobą.
I ten co ziemię z Niebem w dźwięk jeden kojarzył,
co promy czynów dzierżył, i w dumie swéj marzył:
wieniec wielkiego męża, rycerza, poety,
dzisiaj szkielet! — i przez co? (z szyderczym uśmiechem.)
przez oczy kobiety!
(po chwili.)
A! powiedz, czy cię kiedy kochałem?.....
(nieprzytomnie ze złością.)
Okrutna!..... patrz do głębi, w duszy méj tajniki,
badaj każdy ruch serca, zapuść wzrok twój dziki
w najskrytszych myśli moich przepaściste tonie,
dojrzysz tylko nienawiść co wre w mojém łonie.
Dumna! — myślisz że dosyć spojrzeć w twe oblicze,
by rozniecić miłości uczucia zwodnicze?!.....
Ja ciebie nienawidzę..... (oddala się i siada pod drzewem.)

MATYLDA (odwrócona).

Boże! Co za męka!
(wpatruje się długo w Konrada — potem zbliża się gwałtownie do niego.)
Mój drogi, mój jedyny, mój luby, ta ręka
nie dla ciebie, Konradzie. Uścisk jéj ostatni.
(rzucając się na szyję — całuje go w czoło.)
i ten święty, niewinny pocałunek bratni
niech ci będzie nagrodą za twoje cierpienia.
Rzucam cię, lecz przysięgam na ten znak zbawienia,

że wśród powodzi świata którego gwar tłumny
srożéj uciska duszę niźli wieko trumny,
z rozdartem krwawem sercem, z kłamanym uśmiechem.
Matylda *twoja* wiecznie żyć będzie oddechem
przeszłości błogiéj z tobą, myśli twojéj tchnieniem
i nauk twoich skarbem i twojem wspomnieniem.

KONRAD (osłupiały wstrząsając silnie rękę Matyldy).

Matyldo!..... (z obłąkanym zupełnie wzrokiem.)
Matyldo! Widzisz, widzisz, jaki blask w około.
Jakiem złocistem światłem jaśnieje me czoło.

(brerze się za głowę.)

Ten wieniec! Jaki świetny!...... Tyś mi go na skronie
włożyła, wieniec z lauru, patrz, patrz jak on płonie
nieśmiertelności światłem. Dumny jestem, wielki.
Genjuszu iskra błyszczy w mojém oku,
i z każdéj, myśli moich, drgającéj kropelki
rodzi ocean wiedzy ginący w obłoku.

(powstaje.)

A to!
To moje dzieło! — Trofea méj mocy.
Siłą mych uczuć, i rozumu siłą
Zwalczyłem hydrę ciemiężców stugłową.
Nędzarzów wzniósłem z upodlenia nocy,
Świat życia zrównał ze śmierci mogiłą. —
Na me skinienie, na jedno me słowo
padali na twarz bogacze i pany.
Na me skinienie, anioły, szatany
z wiekowych zwalisk dźwigali świat cały;
skruszyli głaz ten co ziemię przywalał.
I ot! gmach powstał, nowy, odmłodniały. —
Na starych gruzach — jam tylko ocalał.

Sam jeden tylko! — Stworzę ludy nowe,
i nową wiarę w ludów mózgi wcielę
i starych zbrodni potwory wiekowe
przywalę nogą, wdepcę aż pod ziemię,
w piekielnéj bezdni, zagrzebię popiele
w piekielnym ogniu spalę, harde plemię. —
Wszystkich duchów rozpierzchłych skupiłem ognisko,
wszystkich pochlebców wzniósłem co pełzali nisko,
Zniszczyłem nauk tłumy,
Zebrałem w jedno mędrców rozumy,
i ich głupią rachubę zaskrzepłą bez wiary,
ogrzałem mego ducha tchnieniem, i w bezmiary
nierównéj walki rzuciłem ich głowy.
Zginęli wszyscy, lecz powstał świat nowy.
Dziś uczułem moc moją, siłę mojej woli.
Jam tu wszechwładnym panem. — Na téj nowéj roli,
zasieję bujne ziarno, ogrzeję mém ciepłem,
pokropię tą posoką, co w bagnisku skrzepłem;
przywołam słońca promień, tchem Bożym powionę,
i zrodzę piękną łąkę nadzieją zielonę.
A wzrosną złote kłosy, jak jeden, wspaniałe,
równe, zdrowe, ziarnkami napełnione całe,
z głową w Niebo wzniesioną, a korzeńmi swemi
przyrośnięte do ziemi, do rodzinnéj ziemi,
wyłuszczę ziarnek krocie, i po całym świecie
rozsypię, aż ich wszędzie wiatr czasu rozmiecie.
Jakżem wielki, potężny! Z nicestwa ogromu,
powstają nowe ludy. Z ócz mych nakształt gromu
wypada iskra, tleje, płomieni się, żarzy,
bucha niebiańskim ogniem i na każdéj twarzy,
jaśnieje światłem prawdy, wkoło blask roznieca,
i gruby pomrok mglistéj wędrówki oświeca. —

Ja na czasu rydwanie z tryumfem wiedziony,
objeżdżam wszystkie kraje, i memi ramiony,
niebios sięgam, chwytam je i białą zasłoną,
ogarniam ziemię całą, w rozkoszy uśpioną.
Ha! czas spocząć po trudzie, wielka była praca.

(zasypia na skale.)

MATYLDA (kładąc mu rękę na czole).

Jaki żar! O, szczęśliwy. To życie mu skraca.
A ja! ja wszystko zniosę!... Mądrość — to cierpienie.
Hasło mojego życia: walka, poświęcenie.

KONRAD (budzi się.)

Toś ty! kobieta!..... Czego szukasz, czego?
Sławy, kwiatka — czy lubego? —
Miłości? czy kochanka? Niema go tu, niema.
Precz ztąd! Stoi jak mara. Czy znałaś Matyldę?
Brzydka, lecz do aniołów podobna. —
Na czole jakiémś rzewném zamyśleniem zdobna;
na ustach śmiech szyderczy, a na twarzy zima...
W oczach jéj ogień błyszczał, lecz serca nie miała.
Na ten świat przyszła bez serca.
Rozumiesz? — Ale w głębi Boskiéj duszy tlała
jakaś iskierka. — Przyszedł morderca
rozniecił iskrę, i zabił ją, zabił.
O, ona żyła jeszcze, ale on ją zabił.
Ty tego nie pojmujesz. — Ja kochanka twego
nie widziałem. — Idź, idź precz ztąd! — A ty Matyldę
widziałaś? Gwiazdą spadła, tam, do zamku tego.
Śliczna, ale rozumna, zwyczajnie kobieta.....
Jak wszystkie..... i wesoła, i pusta, i rzewna.
Czasem tkliwą piosnkę nuciła, to znowu

serdecznie się rozśmieje..... Moja blizka krewna. —
Mógłby ją kochać jaki artysta, poeta.....
lub jaki wielki Xiąże, wielki szewc, to jedno.
Świat nie poznał się na niéj, i wyniósł ją biedną,
ponad wszystkie dziewice, obsypał ją złotem;
na drogę rzucił kwiaty kolczaste, a potem.....
Co się potem z nią stało?.....

MATYLDA (w najwyższym wysileniu).

Konradzie, mój drogi!.....

KONRAD (przychodząc nieco do przytomności).

To znajomy głos dawny!..... Ja żebrak, ubogi
ja ten głos już słyszałem. (wpatruje się w nią.)
Jéj oczy! — jéj oczy!
Poznam je, choć najgrubsza noc ziemię otoczy.
To ty, to ty? Matyldo! Takiemi oczyma
pomnę, patrzałaś na mnie owego wieczora.....
Pamiętasz?..... była północ, i spóźniona pora.....
Jam tobie opowiadał.....

(Matylda patrzy mu w oczy.)

KONRAD (odwraca się.)

A! a! któż wytrzyma
pociski twoich oczu! — (bierze ją za rękę.)
Ha! drzysz cała!.....
Lękasz się. Gdzież rozwaga, męztwo, siła woli.
Przywołaj rozum w pomoc, wyjm cierń co ci boli. —
Nie, nie! To nie Matylda. Nigdy tak nie drzała
moja dumna Xiężniczka. —

(po chwili — w obłąkaniu.)

Ty nie znasz Xiężniczki? —
Jeżeli spotkasz kiedy w pięknych niewiast gronie

najsmutniejszą dziewicę w lskniącéj z tęcz koronie,
powiedz: żeś mię widziała w wielkich mężów kole,
z oliwną rószczką w ręku, z tym wieńcem na czole;
żem wszystko w spak przewrócił, cały świat przetworzył,
żem spisał nowe księgi, nowe pieśni stworzył,
żem kobiecie dał serce, mężom silną wolę,
żem miłość wygnał z ziemi, z nią rozpacz i bole,
żem w lemiesz, miecz przetopił, złoto w poświęcenie,
żem śmierć zamienił w roskosz, a pracę w wytchnienie,
żem przerobił odwieczny porządek natury,
że mi stawią kolossy, posągi, marmury,
żem zdobył wielkie imię, (tajemniczo) tylko nie mów tego,
żem ją kochał..... (groźnie) gdy powiesz.....

(dobywa sztylet w kształcie krzyża.)

widzisz? nie mów tego.....

Ach! ja tak ją kochałem!..... To było potrzebą,
mojéj duszy..... gdym spojrzał w jéj oblicza Niebo.....
Słuchaj!..... gdybyś..... o, gdybyś widziała jéj lica,
jéj wzrok łagodny, tęskny, jak promień księżyca.....

(z okropnym gniewem.)

Ha! wzrok zabójczy zimny, jak ostrze sztyleta,
zimny, jak piekło. Tak! (z uśmiechem.) cha! Szaleniec... poeta...

(śmieje się.)

Ona to powiedziała..... szaleniec!..... ha!..... siła,
siła woli. (zamyśla się.) A! wtedy..... jakiemi patrzyła
oczami!..... Czasem..... czasem.....

(w najwyższéj nieprzytomności.)

ona mię kochała,
wyznała wszystko..... potem, potem..... nie! kłamała,
zdeptała miłość, starła; — tylko mi na stronie,
włożyła ot, ten wieniec, tu, patrz, patrz jak płonie.

(trze czoło.)

Piecze mię (z straszliwym śmiechem.)

P. S. Nie wszystkie sceny tego dramatu mogą być przedstawione w teatrze. W niektórych ustępach brak życia, brak działalności co może usposabiać do ziewania publiczność zawsze chciwą silnych wzruszeń a nie patrzącą poważniéj, głębiéj. Drzemiące społeczeństwo nasze nie może posłużyć za przedmiot do przedstawienia gwałtownych ruchów w obrazie mającym za cel: stawić przed oczy widza, mniéj więcéj ogólne rysy fizjonomji narodu, jaką jest w życiu codziennem, powszedniem. — Oświeceni artyści dramatyczni sami najlepiéj osądzą, jakie sceny powinny być w grze wyrzucone. Nie widziałem konieczności trzymać się uświęconego podziału na sceny. Ta różnica zaciera się w grze teatralnéj.